M. B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: KAROL BADZIAK **Komu szpital?** ● JAN BĄBIŃSKI **Pierwsze: nie nudzić** ● **Przepis –święta krowa** ● **Co to jest pornografia?** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Zagadka wodna** ● **Nowela kryminalna**

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

32 (716)
8. VIII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KTÓRĘDY DO DYREKTORSKIEGO FOTELA?

POLITYKA kadrowa — to obecnie najżywiej dyskutowany problem, budzący liczne kontrowersje, a także plotki. Najczęściej jednak ludzie zastanawiają się, co zrobić z tymi, którzy zajmują już określone stanowiska, ale w praktyce nie spełnili pokładanych w nich kiedyś nadziei. Mniej uwagi poświęca się metodom przygotowywania rezerwy kadrowej — zespołu ludzi, którzy są już przygotowani do obsadzenia wakujących stanowisk. Wystarczy zapytać któregoś z dyrektorów zjednoczenia, aby przekonać się, że obok bieżącego kierowania produkcją podległej mu gałęzi przemysłu brak rezerwy kadrowej stanowi najpoważniejszy kłopot.

Wiemy bowiem, co dyrektor musi umieć. Wiemy że powinien być dobrym organizatorem, wiedzieć, jak spożytkować informacje, których dostarczą mu psycholodzy, socjolodzy i matematycy. Ale praktyka wielu fabryk niezbicie dowodzi, że to jeszcze mało, że nie samą wiedzą człowiek musi się kierować, ale i doświadczeniem.

SPECJALISTA NA CENZUROWANYM

JEST bardzo dobrym specjalistą — usłyszałem niedawno opinię o byłym dyrektorze jednej z łódzkich fabryk — ale nie umiał współpracować z ludźmi i dlatego musiał odejść. Pracuje teraz w placówce badawczo-naukowej.

Wkrótce miałem okazję być w fabryce, gdzie uprzednio inż. Michał Z. był dyrektorem.

— Można być wybitnym specjalistą — powiedziano mi w Komitecie Zakładowym partii tej fabryki — i nie umieć liczyć się ze zdaniem innych. A na tym przecież m. in. polega sztuka kierowania ludźmi, że we właściwy sposób wykorzystuje się ich wiedzę i doświadczenie. Inaczej powstają konflikty i zadrażnienia. I tak właśnie było u nas. Doszło nawet do tego, że niektórzy uważali, że razem z odejściem inż. Michała Z. nastąpi spadek produkcji, bo cała fabryka idzie tylko dzięki niemu a inni, że stanie się to, kiedy nie odejdzie. Odszedł, a fabryka pracuje tak samo dobrze i tylko konfliktów jest mniej.

Zjednoczenie, na odchodne, wystawiło inż. Michałowi Z. bardzo dobrą opinię o jego kwalifikacjach i pracy zawodowej. Ludzie nie kwestionują tej opinii, ale pytają: dlaczego był przez tyle lat dyrektorem, skoro z kilku fabryk odchodził właśnie za brak umiejętności współpracy z ludźmi? Czy o tym nikt nie wiedział?

W Zjednoczeniu mówią: — On nigdy nie powinien był być dyrektorem. A przecież był i to przez długie lata.

Umiejętności obcowania z ludźmi nie uczą na wyższej uczelni, a bez tego nie można kierować ani dużą, ani nawet małą fabryką. Przekonał się o tym inny dyrektor, którego w trakcie obchodu fabryki zagadnięto o brak surowca. Robotnicy tracili czas na skutek nierytmicznych dostaw. Dyrektor — wybitny specjalista — oświadczył im, że to nie jego sprawa i odesłał do majstra. Z punktu widzenia idealnie pojętej organizacji pracy i podziału kompetencji — miał rację. Ale z punktu widzenia robotników — nie. Uznali oni, że to również jego sprawa i że powinien był bliżej się nią zainteresować. Nastąpił konflikt między teorią a praktyką, który wyraził się ich niechęcią do dyrektora.

Jakim kryteriom powinien zatem odpowiadać dyrektor? Co należy wyżej u niego cenić: kwalifikacje zawodowe i wiedzę specjalistyczną, czy umiejętność współżycia i talenty organizatorskie? Czy i jak przygotowujemy ludzi, którzy łączyliby w sobie wszystkie te cechy razem? Oto pytanie, które zadaje sobie wielu ludzi, zastanawiając się nad przyszłą i obecną polityką kadrową.

PRZEZ WSZYSTKIE SZCZEBLE

KAŻDY młody inżynier, który przychodzi do fabryki — mówią działacze polityczni z przemysłu — powinien być traktowany jako potencjalny kandydat na dyrektora, ale zanim zostanie dyrektorem musi kolejno przejść wszystkie zakładowe stanowiska, aby samemu poznać ich pracę. Nie wszyscy dojdą do dyrektorskiego gabi-

Dalszy ciąg na str. 3

MIECZYSŁAW GUMOLA

Egzamin na Targowej

Targowa 61/63 — Szkoła Filmowa i Telewizyjna — obiekt marzeń wielu dziewcząt i chłopców. Stąd wyszła cała plejada znanych reżyserów, operatorów filmowych, aktorek, aktorów.

Tutaj, co roku w czerwcu i lipcu zjawiają się młodzi ludzie na egzaminy wstępne. Miejsc jest niewiele, kandydatów mrowie. Dostać się do szkoły to niczym wygrać los na loterii. Niektórzy ponawiają próby przez kilka kolejnych lat. Do trzech razy sztuka — tylko trzy razy można próbować szczęścia.

W czerwcu odbyły się egzaminy na wydział operatorski i realizacji telewizyjnej oraz na wydział aktorski. Na pierwszy zgłosiło się 188 osób. Przyjęto — 13: jedną kobietę i dwunastu mężczyzn. Pierwszą lokatę bezapelacyjnie uzyskał kandydat o pochodzeniu chłopskim. Sześciu spośród przyjętych posiada pochodzenie robotnicze i sześciu wywodzi się z inteligencji pracującej.

Do egzaminu na wydziale aktorskim przystąpiły 124 kobiety i 138 mężczyzn. Przyjęto 5 kobiet i 10 mężczyzn, w tym z pochodzeniem robotniczym — 5, inteligenckim — 9, chłopskim — 1.

W lipcu rozpoczęły się egzaminy na wydziale reżyserii filmowej i telewizyjnej. Warunkiem dopuszczenia kandydata do egzaminu było ukończenie studiów wyższych, wykazanie się dorobkiem twórczym albo aktywnością artystyczną oraz nie przekroczony 30 rok życia. Do egzaminu przystąpiło 62 kandydatów, w tym 10 kobiet i 52 mężczyzn.

Większość zdających pochodziła z wielkich ośrodków miejskich — Warszawy, Krakowa, Wrocławia i Łodzi. Uczestniczę w pracach ko-

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

XXV *bukareszteńska sesja RWPG z pewnością zajmie ważne miejsce w historii wzajemnych stosunków między państwami socjalistycznymi. Podkreślił to w swojej pierwszej wypowiedzi po powrocie z Bukaresztu premier Jaroszewicz, oceniając uchwalony na tej sesji program integracyjny, jako nowy etap w rozwoju współpracy ekonomicznej krajów członkowskich.*

Sesja bukareszteńska przyniosła wcielenie w życie podjętej w Moskwie uchwały, przy czym nie bez znaczenia jest fakt, że program został uchwalony jednomyślnie przez wszystkich uczestników sesji.

Przy całym jednak swoim niewątpliwym znaczeniu, opracowanie i uchwalenie programu to dopiero kroki wstępne, otwierające i wyznaczające początek długotrwałego procesu.

Warto tu chyba zwrócić uwagę na kilka najważniejszych ogniw tego procesu.

Przede wszystkim więc chodzi o to, żeby w procesie integracyjnym państw RWPG coraz szerszy i udoskonalający się międzynarodowy podział pracy mógł się opierać na naukowej, wieloletniej prognozie rozwoju poszczególnych dziedzin gospodarki krajów RWPG.

Po drugie w procesie tym — na co zwrócił uwagę w swoim wystąpieniu na bukareszteńskiej sesji premier Jaroszewicz — powinna zostać wyrównana pewna jednostronność, charakteryzująca dotychczasowe stosunki w ramach RWPG, a polegająca na tym, że koordynacja planów rozwoju gospodarczego dotyczyła głównie obrotów handlu zagranicznego. A tymczasem chodzi o to, żeby procesy integracyjne sięgały daleko w sferę programowania i planowania produkcji.

Trzecie ważne ogniwo procesu, to integrowanie potencjałów naukowych krajów RWPG, organizowanie prac naukowo-badawczych w skali międzynarodowej, tworzenie rad naukowo-koordynacyjnych i międzynarodowych kolektywów naukowców dla wspólnego opracowywania problemów badawczych.

Podkreślanie decydującego znaczenia zaplecza naukowego dla rozwoju gospodarki byłoby przysłowiowym wyważaniem otwartych drzwi. Świadomość tego faktu jest chyba dostatecznie ugruntowana w okresie rewolucji naukowo-technicznej, jaką przeżywa świat współczesny.

Właściwa integracja zaplecza naukowego krajów RWPG daje znakomitą szansę faktycznego pomnożenia tych środków i z pewnością większej efektywności badań naukowych.

Dowodem właściwej oceny rangi tych spraw we współczesnym świecie była m. in. uchwała bukareszteńskiej sesji, powołująca Komitet RWPG do spraw współpracy naukowo-technicznej.

XXV sesja RWPG śledzona była z uwagą również na Zachodzie. Liczni komentatorzy przeprowadzali rozmaite porównania między procesami integracyjnymi w łonie EWG i RWPG.

Bez względu na to, jakie były wyniki tych porównań, dostrzec można było kryjącą się za nimi obawę, że w swoistym integracyjnym współzawodnictwie gospodarka socjalistyczna może okazać się sprawniejsza od kapitalistycznej.

Program uchwalony w Bukareszcie z pewnością nie przyczynił się do pomniejszenia tych obaw.

W minionych dniach duża część uwagi politycznych obserwatorów zwrócona była na świat arabski, zwłaszcza zaś na przeciągającą się krwawą rozprawę generała Nimeiri z politycznymi przeciwnikami. W wielu krajach rozlegały się potężne głosy protestu przeciw mordowaniu w Sudanie postępowych działaczy, przeciw nagonce na partię komunistyczną.

Odpowiedź na pytanie, co kierowało generałem Nimeiri, kiedy posyłał na śmierć tylu wartościowych synów Sudanu, nie jest łatwa.

Czy była to zdrada haseł sudańskiej rewolucji, głoszonych przecież przez samego Nimeiri, kiedy w maju 1969 roku, na czele rady rewolucyjnej sięgał po władzę? Zdrada i przejście na proimperialistyczne pozycje?

Rzecz nie wydaje się prawdopodobna. Po prostu w aktualnych warunkach w Sudanie, przy jego powiązaniach z Egiptem i Libią, odejście od antyimperialistycznej polityki i zajęcie pozycji podobnych na przykład do tych, jakie zajmuje król Arabii Saudyjskiej Fajsal, byłoby — praktycznie — niemal niemożliwe. Choćby ze względu na korpus oficerski armii sudańskiej, który zapewne nie pozwoliłby żadnemu przywódcy na taki zwrot.

Bardziej prawdopodobna wydaje się inna hipoteza. A mianowicie, że generał Nimeiri starał się wykorzystać nieudany przewrót dla umocnienia swojej osobistej pozycji, jako przywódcy, w sposób posiadający wiele historycznych paralel w różnych krajach i systemach politycznych: przez fizyczną likwidację ludzi, których osobiste cechy, czy zalety, mogły z nich czynić potencjalnych kandydatów na kierownicze stanowisko w państwie.

A może w działaniu gen. Nimeiri była jeszcze jedna ukryta sprężyna, bardzo prymitywna, ale niestety, ludzka?

Dziennikarze obecni na jednej z pierwszych konferencji prasowych prowadzonych przez Nimeiri po powrocie do władzy zauważyli pewien charakterystyczny szczegół.

Opowiadając o tym, jak był aresztowany, jak go trzymano pod strażą i jak wreszcie udało mu się uwolnić — Nimeiri sięgnął po papierosa. I długo nie mógł go zapalić drżącymi rękami, chociaż groza przeżytych chwil była już daleko za nim.

Za tę grozę, za przeżyty strach ktoś musiał zapłacić. Zapłata była na miarę — jak się zdaje — wyobrażeń tego człowieka o sobie, wyobrażeń obracanych w gruzy w chwilach przeżywanej trwogi i upokorzenia. I właśnie za to musiała być zemsta. Bo zwłaszcza pierwsze krwawe rozprawy, nie liczące się z żadnymi względami prawa i sprawiedliwości, miały rzeczywiście charakter zemsty, ślepej — w swojej zaciekłości — na wszystkie uboczne okoliczności i względy.

I nie jest wykluczone, że Nimeiri polityk będzie jeszcze żałował tego, co czynił Nimeiri — zaślepiony przeżytym upokorzeniem i pragnieniem zemsty i nie umiejący nad sobą dostatecznie panować człowiek.

A. MALSKI

O SZKŁACH KONTAKTOWYCH AŻ DO SKUTKU

Mija już siódmy miesiąc od czasu, kiedy Marian Borchardt zaprzestał wykonywać szkła kontaktowe i trzeci miesiąc od chwili ukazania się na łamach „Odgłosów" pierwszej publikacji na ten temat. I co z tego? Nic. Ludzie bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialni za ten stan rzeczy, zaprezentowali nam świetne samopoczucie, którego im szczerze zazdroszczę. Listy czytelników ujawniły z kolei tragedię pacjentów, którym poza wyrażeniem szczerego współczucia nic nie jestem w stanie pomóc. Okazuje się bowiem, że wszyscy jesteśmy bezsilni i bezradni wobec aktywnej obojętności urzędników, pełniących kierownicze funkcje w państwowej i społecznej służbie zdrowia. Sprzysięgli się oni tylko na skutek krytyki prasowej, zintegrowali i zwartym szeregiem wystąpili przeciwko jednemu rzemieślnikowi - I zwyciężyli. Mogą być z siebie dumni.

Nie przewidziałem tego. A powinienem... Kierownik Wydziału Zdrowia, dr T. Lewy, występując w imieniu (nie wiem z jakiego tytułu) wszystkich wymienionych i nie wymienionych przeze mnie instytucji, odpowiedzialnych za wynikłą sytuację tak pisze do redakcji: „Chcę tu wyjaśnić, że działania Wydziału, Spółdzielni Lekarzy, Zarządu Okręgowego Związku Sp-ni Pracy i Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy oraz Departamentu Profilaktyki i Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia były intensywne i adekwatne do rangi problemu".

A problem naprawdę jest taki, że znajduje się w naszym kraju orientacyjnie około 4,5 tys. osób, którym szkła kontaktowe są już teraz pilnie potrzebne i Marian Borchardt jest w stanie sam jeden w ciągu całego roku ludzi tych obsłużyć. Oczywiście, jest rzeczą bezdyskusyjną, że istnieje potrzeba zwiększenia liczby fachowców tego typu i cieszy zapewnienie, że 30 osób będzie wysłanych za granicę na przeszkolenie. Tylko po co ich wysyłać za granicę, gdy posiadamy w kraju nie gorszego specjalistę, który mógłby ich nauczyć tego samego, tyle, że o wiele mniejszym kosztem? Marian Borchardt jeździ przecież wspólnie z wybitnymi polskimi okulistami na sympozja międzynarodowe, więc widocznie musi coś umieć. Ale na Mariana Borchardta obrażono się, ponieważ nie pozwolił się poniżyć, nie dał się upokorzyć i pomniejszyć, gdyż ma poczucie własnej wartości zawodowej i godności osobistej.

Dlaczego Marian Borchardt musi zgodzić się na warunki Spółdzielni, a Spółdzielnia nie chce zgodzić się na jego warunki? Zasłanianie się przepisami ze strony pani prezes Zofii Karbowskiej to alibi, które ma przesłonić niezdrową ambicję. Przecież prawie przez 10 lat Marian Borchardt pracował w tej Spółdzielni i nikt nie miał w stosunku do niego żadnych zastrzeżeń.

Czyż wykluczając unikalnego specjalistę ze Spółdzielni, ani p. prezes, ani zarząd nie pomyśleli o chorych, nie przewidzieli skutków? Nie. Dopiero, gdy za pośrednictwem naszego tygodnika opinia publiczna dowiedziała się o tej skandalicznej historii, na gwałt zaczęto szukać argumentów przeciwko M. Borchardtowi, usiłując go zdyskredytować i zdeprecjonować zawodowo i moralnie. Z biegiem czasu sprawa ta stawała się coraz bardziej nieprzyjemną i ponurą tragifarsą. Dziś już nie ma winnych, wszyscy się oczyścili z zarzutów, umyli ręce, są zadowoleni i skorzy nawet do niesmacznych dowcipów. („Zdaniem naszym temat podjęty przez Pana K. Badziaka był dla niego za trudny...").

Cytat ten pochodzi z pisma kierownictwa Spółdzielni. Właściwie autorzy tego listu chyba mają rację. Walka z nimi to faktycznie za trudna dla mnie rzecz. Uważają oni, że problem szkieł kontaktowych to sprawa Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwo znów twierdzi, że problem ten leży w gestii spółdzielczości. („Sprawa zapewnienia produkcji szkieł kontaktowych przez spółdzielnię leży w gestii Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy"), Izba Rzemieślnicza jest zdania, że produkcja szkieł kontaktowych przez M. Borchardta to prawie wykroczenie („Jednocześnie Izba informuje (...) że w ramach prowadzonego zakładu rzemieślniczego zgodnie z zakresem przedmiotowym (Okólnik przewodniczącego Komitetu Drobnej Wytwórczości z dnia 18 marca 1966 r. Monitor Polski nr 15, poz. 90) nie jest upoważniony do wykonywania tego rodzaju specjalistycznych usług okulistycznych, ponieważ zakres przedmiotowy rzemiosła okulistycznego nie przewiduje tego rodzaju czynności (zabiegów), a wykonywanie tego rodzaju usług byłoby przekroczeniem uprawnień ob. M. Borchardt").

Wyjątek ten pochodzi z pisma Izby Rzemieślniczej w Łodzi, które podpisał dyrektor mgr Stanisław Michalski.

Najoryginalniejsze jednak stanowisko zajął kierownik Wydziału Zdrowia, dr T. Lewy, który stwierdził, że w ogóle nie rozumie o co tu chodzi i czego od niego oczekujemy. („Nie mogę dotąd zrozumieć, czego oczekiwała Redakcja od Wydziału w sprawie Pana Borchardta").

Tymczasem Spółdzielnia informuje na wszystkie strony, że zatrudniła już nowych optyków, w tym nawet magistra inżyniera i przystępuje do produkcji szkieł kontaktowych. Szkoda tylko, że pracownikom recepcji tej Spółdzielni nic o tym nie wiadomo. Czyżby z produkcją tych szkieł Spółdzielnia zeszła do podziemia i robi je w tajemnicy przed własnymi pracownikami oraz przed pacjentami? Ci, którzy z całego kraju przyjeżdżają do Łodzi, przyjeżdżają tylko po to, żeby dowiedzieć się, iż wprowadzono ich w błąd. Podając takie informacje urządza się kpiny ze zdrowego rozsądku i z chorych ludzi. Bardzo przepraszam, ale w tej sprawie humor jest absolutnie nie na miejscu.

A swoją drogą to dziwne, że żadna inna łódzka spółdzielnia lekarzy, korzystając „z zamieszania" nie zaoferowała panu M. Borchardtowi pracy u siebie.

KAROL BADZIAK

Listy do Redakcji

SZANOWNA REDAKCJO!

Jestem krótkowidzem o bardzo słabej zdolności widzenia (—13). Przeczytałem artykuł w Waszym czasopiśmie pt. „Szkła kontaktowe — ciąg dalszy". Artykuł ten zaskoczył mnie bardzo przyjemnie, ponieważ było w nim stwierdzenie Dyrektora Departamentu Ministerstwa Zdrowia oraz Kierownictwa Spółdzielni, że owa Spółdzielnia wznowiła produkcję szkieł kontaktowych. Po przeczytaniu powyższego artykułu udałem się natychmiast do Łodzi, aby złożyć zamówienie na te szkła w Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów. I co się okazuje? Że stwierdzenie o wznowieniu produkcji szkieł przez Spółdzielnię to wierutne kłamstwo i to w dodatku podane do opublikowania w prasie. Wprost w głowie mi się nie mieści, jak można tak bezczelnie nabijać ludzi w przysłowiową butelkę. I co ciekawe w tym wszystkim, że pani, która udzieliła mi informacji, miała poważne wątpliwości, czy w ogóle Spółdzielnia wznowi produkcję soczewek kontaktowych.

Mieszkam na prowincji, w odległości 90 km od Łodzi i od dłuższego już czasu nie mogę podjąć pracy, ponieważ możliwości wyboru pracy, odpowiedniej dla stanu mego wzroku, są tutaj bardzo ograniczone. Soczewki kontaktowe rozwiązałyby mi ten problem. Zapytuję za pośrednictwem redakcji „Odgłosów" Kierownictwo Spółdzielni, jak długo mam jeszcze czekać na wiarygodną wiadomość w prasie o wznowieniu produkcji szkieł kontaktowych przez p. M. Borchardta.

Bardzo proszę Redakcję o wydrukowanie mego listu, niech Zarząd Spółdzielni wie, że sprawa szkieł to nie tylko sprawa Spółdzielni i p. M. Borchardta, lecz wszystkich ludzi źle widzących z racji chorób oczu.

JANUSZ SZOPA
Rzeczyca pow. Rawa Maz.

REDAKCJA „ODGŁOSÓW"

Z prawdziwą satysfakcją śledzę konsekwentne postępowanie Redakcji Waszego Tygodnika w „sprawie szkieł kontaktowych".

Uważny czytelnik już dawno spostrzegł, że nie chodzi tu tylko o sprawę P. Borchardta. To, co czytaliśmy w odpowiedzi p. Kierownika Wydziału Zdrowia w zestawieniu z pismem Premiera, a ostatnio fakt ujawnienia poufnych („do użytku służbowego") zaleceń przekreślających intencje naczelnych władz w kwestii jawności życia publicznego — to sprawa sposobu myślenia ludzi, którym powierzono władzę. Osób, których władza przecież w naszym systemie wywodzi się „od ludu" (przepraszam za to zdeprecjonowane w potocznym rozumieniu sformułowanie).

Stanowisko dr Lewego (a przecież mógłby to być p. X czy p. Y, nie o osobę tu chodzi) to nic innego, jak kontynuacja niechęci do podejmowania decyzji, interwencji, żądania zmian przepisów, które w konkretnym przypadku działają przeciwko dobru społeczeństwa.

Zapytuję: a co zrobił Wydział Zdrowia w porozumieniu z Izbą Rzemieślniczą? Co zaproponował dla unikalnego załatwienia unikalnej sytuacji? W końcu — czy w przeszłości nie interesował się tym, w jaki sposób zabezpieczyć tego typu usługi, skoro p. Borchardt działa „na wariackich papierach". Czy Wydział Zdrowia nie wiedział, lub nie powinien wiedzieć, że są ludzie potrzebujący szkieł kontaktowych, a więc dla dobra społeczeństwa trzeba myśleć o ich zabezpieczeniu? Przypuszczam, że Wydział Zdrowia siedział cicho i szczęśliwie, zadowolony, że nic nie musi w tej sprawie robić. Aż bomba wybuchła, no i p. dr Lewy jest obrażony na cały świat.

Wydaje się, że ten problem można traktować jako przykład. Mam poważne wątpliwości, czy znów — powtarzając za Okudżawą — pewna grupa ludzi nie zmieniła nalepek na czołach i uważa, że wszystko jest w porządku. Mam tu na względzie działalność naszych władz terenowych, szczególnie na wyższych i średnich stanowiskach kierowniczych. Jedni nie zmieniają sposobu myślenia, bo są za tępi i nie wiedzą, czego się od nich chce, drudzy — bo tak jest wygodniej.

WITOLD AFELT
Łódź, Brzoskwiniowa 25

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Tak się czasem składa, że nie zawsze jest czas na przeczytanie „Odgłosów" od „deski do deski". To spowodowało, że dopiero w numerze z 11 lipca br. przeczytałem korespondencję nt. rzemieślniczej działalności i „niesubordynacji" optyka p. Mariana Borchardta.

Nie wiem, czy to, co napiszę, będzie miało jakiekolwiek znaczenie zarówno dla Redakcji jak i p. M. Borchardta, ale chodzi mi po prostu o ludzką sprawiedliwość. Tak się złożyło, że syn mój w ciągu z górą dziesięciu lat był leczony przez pana prof. Janusza Sobańskiego, który m.in. leczył go za pomocą szkieł korekcyjnych wykonywanych przez p. M. Borchardta i stąd moja ponad dziesięcioletnia znajomość p. Mariana. Z prawdziwym zaskoczeniem przeczytałem pismo Spółdzielni Lekarzy Specjalistów, w którym — w polemice z red. Badziakiem — stawia zarzuty p. Borchardtowi.

Obawiam się, że Spółdzielnia nie w pełni jest zorientowana o kwalifikacjach pana B. i stąd traktuje, czy też potraktowała Go jako zwykłego zjadacza chleba. Sądzę, że gdyby Spółdzielnia przekonała się, jakie skomplikowane i z jaką precyzją wykonuje p. Borchardt szkła i nie tylko szkła, to nabrałaby większego szacunku dla ludzkiego talentu, zdolności i lepiej oceniałaby przydatność Jego kwalifikacji, które przynoszą ulgę w ludzkich cierpieniach.

Myślę, że gdyby panu Borchardtowi stworzono lepsze warunki pracy, okazano by większy szacunek dla Jego umiejętności, to dla ludzi chorych, cierpiących, a niekiedy zeszpeconych miałoby to większe znaczenie niż jakieś tam bliżej nie sprecyzowane ambicje.

Nie podejmuję nawet w dyskusji sprawy uczciwości p. Borchardta, gdyż znam dziesiątki przykładów — własnych i cudzych — kiedy słyszałem odpowiedź p. Borchardta: „cieszę się, że jest poprawa, a moja wiedza do czegoś się przydała".

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW FIBAKIEWICZ

OD REDAKCJI: Na tym zamykamy smutną i długo ciągnącą się sprawę M. Borchardta i produkcji szkieł kontaktowych w Łodzi. Mamy nadzieję, że sprawa ta znajdzie wreszcie swoje właściwe rozwiązanie.

POLONICA

„KONTREDANS" W PARYŻU

Jadwiga Kukułczanka, wybitna tłumaczka sztuk polskich na język francuski, nagrodzona niedawno przez Centre de Civilisation Polonaise na Sorbonie, napisała własny utwór pt. „Kontredans". Zainteresował się nim Theatre des Capucines w Paryżu. Sztuka będzie tam wystawiona jesienią. Zapewne i polskie teatry zainteresują się tym utworem.

Warto przypomnieć, że w sezonie 1970/71 teatry paryskie wystawiły rekordową ilość polskich sztuk.

W. N.

KOLEJNY NUMER „MICKIEWICZ — BLATTER"

Ukazał się drugi tegoroczny numer czteromiesięcznika „Mickiewicz — Blatter", który od 1956 roku ukazuje się w Heidelbergu (NRF) pod redakcją dra Hermanna Buddensiega. Numer otwiera artykuł Carla Augusta von Pentra pt. „War's nich doch in Zaosie?" (Czy to jednak nie było w Zaosiu) na temat miejsca urodzenia Adama Mickiewicza, następnie rozważania Bohdana Suchodolskiego o Komenskym, wiersz Kazimierza Przerwy-Tetmajera w przekładzie Karla Dedeciusa oraz fragment z „Chłopów" Reymonta pt. „Jarmark". Bogatej treści numeru dopełniają uwagi o literaturze bułgarskiej pióra Todora Deppe, fragmenty poematu Szota Rustawelego „Witeź w tygrysiej skórze" w przekładzie Hermanna Buddensiega oraz opowiadanie pisarza litewskiego, Romualdasa Lankauskasa pt. „Wartościowa trumna" w przekładzie Ernesta Kawohla. Jak zawsze i tym razem numer „Mickiewicz-Blatter" jest ciekawy i zasługuje na naszą uwagę.

jk.

Którędy do dyrektorskiego fotela?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

netu, ale wszyscy nabiorą doświadczenia, które na pewno okaże się bezcenne w ich późniejszej pracy. Natomiast prawie każdy gwałtowny awans — wynik przeskoczenia kilku stanowisk, grozi niebezpieczeństwem konfliktów, które są wynikiem braku niezbędnego doświadczenia.

W wielu naszych fabrykach mało kto troszczy się o to, aby młodzi inżynierowie zdobywali niezbędne im umiejętności kierowania ludźmi. Zagraniczne koncerny posiadają rozbudowane działy personalne, które zajmują się wyłącznie przygotowywaniem kadry przyszłych kierowników. Nasze fabryki posiadają wprawdzie działy kadr, ale pracujące najczęściej bez koncepcji i bardziej troszczące się o przyjmowanie ludzi do pracy niż o ich dalszy los w fabryce. W fabrykach są również działy szkolenia, ale i te mało uwagi poświęcają pracy z młodymi inżynierami. Jeśli więc nawet młody inżynier po przyjściu do fabryki, zacznie wędrować po różnych oddziałach i stanowiskach, to cały ten zabieg pozbawiony nadzoru i myśli przewodniej może okazać się mało skuteczny.

W FABRYCE SĄ MOŻLIWOŚCI

W naszym ustroju kandydat na dyrektora musi odpowiadać nieco innym wymaganiom niż w krajach kapitalistycznych. Tu i tam dyrektor powinien posiadać określoną wiedzę — niezbędną do kierowania przedsiębiorstwem. Ale u nas powinien również posiadać takie kwalifikacje polityczno-społeczne, które pozwoliłyby mu w odpowiedni sposób kształtować stosunki wśród załogi. Powinien być nie tylko dobrym organizatorem, ale także... wychowawcą. I tego najczęściej nie staje dyrektorom. Być może dlatego, że zaabsorbowani operatywnym kierowaniem przedsiębiorstwem, stale odrywani na narady i konferencje, nie mają czasu na kształtowanie kolektywów, na obserwację ludzi, na przygotowywanie sobie następców.

Niedawno przeprowadzono u nas ocenę kadry. Wypełniono wtedy liczne formularze, wystawiono opinie i cenzurki. Ta gigantyczna praca jest najlepszym dowodem dotychczasowego braku kadry rezerwowej, ale sposób korzystania z wyników tej pracy potwierdza tylko, że brak kadry następców w różnych dziedzinach gospodarki jest faktem. Bo w praktyce obsadzania wolnych stanowisk z wyników przeprowadzonej oceny korzysta się w sposób minimalny. Tak też ocenił tę pracę Komitet Dzielnicowy PZPR-Śródmieście w Łodzi, i niezależnie od przeprowadzonej formalnej oceny, przeprowadził drugą — własną. Powołano zespoły, które odbyły liczne rozmowy zarówno z zainteresowanymi, jak i ich podwładnymi. Wyniki tych rozmów — jakże różne od poprzedniej oceny — omówiły egzekutywy organizacji partyjnych w obecności zainteresowanych. W taki sposób oceniono nie tylko dyrektorów, ale całą kadrę kierującą przedsiębiorstwami — od dyrektorów do mistrzów

Specjalistów kształcą wyższe uczelnie. Tam każdy młody człowiek otrzymuje minimum wiedzy uznanej za niezbędną do pełnienia określonego zawodu. Tam też powinien otrzymać minimum wiedzy potrzebnej mu później do kierowania ludźmi i z tym minimum jest znacznie gorzej. Istnieją wprawdzie ośrodki doskonalenia wiedzy, stowarzyszenia twórcze organizujące kursy, seminaria i konferencje, a także wielu techników z pożytkiem dla ich późniejszej pracy ukończyło studia ekonomiczne. Wreszcie — coraz więcej mówi się o studiach podyplomowych, które powinny być niezbędną formą unowocześnienia i uzupełnienia wiedzy wyniesionej swego czasu z wyższej uczelni. To wszystko jednak jest dopiero podstawa — resztę trzeba zdobyć w praktyce — w codziennej działalności przedsiębiorstwa. I tu zaczyna się największy ambaras. Kto w fabryce czy przedsiębiorstwie ma troszczyć się o przygotowywanie rezerwy przyszłych kierowników?

Inspirowany i organizowany przez organizację partyjną rozwój demokracji robotniczej w fabryce jest jedyną okazją do ujawniania się różnorodnych cech ludzi tam działających: inżynierów, techników, ekonomistów i robotników. Organizacja partyjna dysponuje bowiem wieloma możliwościami oddziaływania na ludzi i kształtowania ich postaw w toku codziennej pracy. Ma także obowiązek ocenić postawę i pracę swoich członków, a może również wyrazić swoją opinię o pracy bezpartyjnych. Dysponuje przy tym wszystkimi możliwościami, które opiniom tym nadadzą charakter w pełni kolektywny i obiektywny. Z możliwości tych korzysta jednak nader rzadko. A jak bardzo jest to potrzebne niech posłuży przykład o którym mówiono nie tak dawno na plenarnym posiedzeniu Komitetu Dzielnicowego PZPR-Widzew, gdzie krytykowano postawę kierownika jednego z łódzkich zrzeszeń produkcyjnych, który — jak się sam wyraził — „tak ustawił swoją maszynkę, że może ona bez większego wysiłku kręcić się przez najbliższe 10 lat". W trosce o stabilizację własnej pozycji nie dostrzeł on, że „maszynka" — zrzeszenie przecież producentów „kręci się" coraz mniej dynamicznie i ma coraz większe trudności produkcyjne. Ale faktu tego też nie chcieli dostrzec członkowie jego macierzystej organizacji partyjnej i dopiero trzeba było posiedzenia KD PZPR-Widzew, aby można było o tym głośno powiedzieć.

PROPOZYCJA — ASYSTENT

W pierwszym półroczu tego roku w fabrykach podległych Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, na 134 dyrektorskie stanowiska przyszło 35 nowych osób, z których znaczna większość awansowała po raz pierwszy.

— Nie było to łatwe — powiedziano mi w tym zjednoczeniu — gdyż nie dysponujemy żadnym miernikiem ludzkiej przydatności. Każda nasza decyzja personalna zawiera w sobie element ryzyka, którego nie da się uniknąć. Nie mamy możliwości obserwowania kandydata na dyrektora w czasie jego pracy zawodowej i dlatego rozważamy potrzebę powołania stanowiska asystenta dyrektora, ale nie jako funkcji pomocnika, ale praktykanta, na której można byłoby przygotowywać ludzi ocenionych, jako kandydatów do rezerwy kadrowej.

W niektórych fabrykach przemysłu bawełnianego pracuje więcej niż 5 tys. osób. Do kierowania tak wielkimi zespołami ludzi, gdzie poszczególne oddziały są niemal samodzielnymi fabrykami, potrzeba ludzi szczególnie dobrze przygotowanych. Jeśliby więc założyć, że wiedza naukowa wyniesiona z uczelni i uzupełniona w toku dalszej nauki, plus praktyka zawodowa, polityczna i społeczna zdobyta pod opieką organizacji partyjnej w czasie działania w zakładowych organizacjach, potwierdzona uważną obserwacją ludzi i rzetelną ich oceną dadzą kandydatów do rezerwy kadr, to w takim układzie stanowisko asystenta byłoby dalszym etapem doskonalenia ujawnionych predyspozycji na kierującego nie tylko rozwojem techniki, ale i zespołem ludzi. Jednakże — przy tym wszystkim — trzeba powiedzieć otwarcie, że czynnikiem hamującym kształtowanie się rezerwy kadr, jest obecny stosunek do pracy dyrektorów, na barki których składa się odpowiedzialność za wszelkie winy fabryki. Skutki tego można już odczuć. Znam dużą fabrykę w podłódzkim mieście, gdzie od kilku miesięcy wakuje stanowisko naczelnego inżyniera. Dwu — wprost wymarzonych kandydatów na to stanowisko — permanentnie odmawia awansu. I czasem trudno odmówić im racji. W każdym razie proponujący im awans nie mają dostatecznych argumentów na to. I fakt ten powinien być sygnałem, że w polityce kadrowej nie dzieje się jeszcze dobrze.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Półka z książkami

RELACJE Z PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ

Wydawnictwo Literackie prezentuje kolejną książkę Andrzeja Twerdochliba „Godzina za godziną" *), zdecydowanie różniącą się od dwu poprzednich, bowiem zarówno „Temat", jak i „Czterej w lesie" reprezentują rzadki u nas gatunek powieści satyryczno-humorystycznej. „Godzina za godziną" otrzymała w 1970 roku pierwszą nagrodę w dziale noweli filmowej Wielkiego Konkursu Literackiego, ogłoszonego na dwudziestolecie Nowej Huty i Kombinatu im. W. Lenina. Czy jest to więc książka o Nowej Hucie? — Tak. Z tą tylko poprawką, że jest to książka o ludziach Nowej Huty, o ludziach, którzy ją budowali i w niej mieszkają. Akcja powieści prawie przez cały czas dzieje się poza miastem i Kombinatem, w służbowej podróży. Jej bohaterami są dwaj kierowcy-piloci. Tacy, których wysyła się w Polskę, aby odbierali remontowane samochody, silniki, odstawiali samochody do generalnego remontu.

Andrzej Twerdochlib bardzo plastycznie rysuje swoich bohaterów: Tadeusza Kowalika i drugiego kierowcę Sawickiego, który nie tylko budował Nową Hutę, ale także w niej.. rządził. Sama akcja jest właściwie dość monotonna. Obaj kierowcy jadą od jednego miasta do drugiego, zabierają zlecone im samochody i silniki, ale że jest zima, więc czeka ich coraz to nowe zlecenie i zamiast dwóch dni są w drodze prawie cały tydzień. Ta podróż jest pretekstem do rozważań o ich życiu i mieście, z którym to życie związali. Powoli, w toku rozważań i opowieści rysuje się motyw — być potrzebnym, sprawdzić się, pokazać innym, że jest się do czegoś przydatnym i zdolnym. A więc jest to nie tyle relacja ze służbowej podróży, co z życia współczesnego Polaka. Relacja godna jej poznania.

B. M.

*) Andrzej Twerdochlib — „Godzina za godziną", Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1971, str. 192, cena 10 zł.

„UPADEK KRÓLA"

W serii dzieł pisarzy skandynawskich Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się kolejna pozycja. Jest nią powieść duńskiego pisarza Johannesa V. Jensena „Upadek króla". Jensen należał do grona najwybitniejszych przedstawicieli literatury duńskiej pierwszej połowy dwudziestego wieku, a w Europie zainteresowanie jego twórczością wzrosło szczególnie w roku 1944, kiedy to za sześciotomowy cykl powieściowy „Długa podróż" Jensen otrzymał nagrodę Nobla. Powieść „Upadek króla" powstała w roku 1901. Jej autor miał wówczas 28 lat. Fakt ten nie jest bez znaczenia, zważywszy, że powieść świadczy o dojrzałym już wówczas warsztacie pisarskim Jensena, a także o oryginalności jego koncepcji historiozoficznych. Akcja „Upadku króla" rozgrywa się wokół wydarzeń historycznych związanych z dziesięcioletnim (1513—1523) okresem panowania w Danii króla Christiana II. Jensen opisując kolejne wypadki, prowadzące w konsekwencji do detronizacji Christiana II, jeszcze raz zajmuje się odwiecznym problemem odpowiedzialności za władzę. Według Jensena — i taką tezę udowadnia w swojej powieści — istnieje ścisła zależność losu narodu i państwa od losu jednostki. I odwrotnie.

Historię Danii sprzed kilkuset lat autor przedstawił poprzez obraz życia jednego z bohaterów powieści — uczestnika wszystkich walk, którego los związał z osobą króla Christiana II. Bohaterowie Jensena to ludzie o niebanalnych charakterach i burzliwym życiu. Powieść, przynosząca wiele obyczajowych realiów i przedstawiająca wypadki historyczne, dzięki interesującej konstrukcji, pewnej niesamowitości a także niemal poetyckiemu urokowi, nie ma nic wspólnego z typową powieścią historyczną. Przede wszystkim dlatego, że u Jensena najważniejsi są ludzie.

B. M.

*) Johannes V. Jensen — „Upadek króla", Wydawnictwo Poznańskie. 1971, str. 188, cena 25 zł.

Fot. W. Kraska

WAKACYJNY KONKURS „ODGŁOSÓW"

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrówek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów". Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne zdania konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych
II nagroda — 1 000 zł w bonach towarowych
III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: **Łódź, „Odgłosy", ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny".**

ZADANIE KONKURSOWE NR 5

Na jednym z łódzkich domów widnieje ta tablica. Na pierwszym piętrze znajduje się mieszkanie, w którym Reymont pisał „Ziemię obiecaną", dynamiczną panoramę przemysłowej Łodzi. Przy jakiej ulicy znajduje się ów dom z pamiątkową tablicą?

Skomponujmy taką historyjkę. Oto wychodzi Reymont z kawiarni Roszkowskiego, aby udać się do domu. Przechodzi na drugą stronę Pasażu Mayera i Piotrkowską podąża w stronę Nowego Rynku. Mija Dzielną, skręca w Cegielnianą i zaraz potem w lewo...

Dla ułatwienia dodajmy, że kawiarnia Roszkowskiego mieściła się tam, gdzie dziś kawiarnia „Łodzianka", że Dzielna — to Narutowicza, Cegielniana — to Jaracza... i już jesteśmy z Reymontem w domu.

Jak zatem brzmi nazwa tej ulicy?

KAROL BADZIAK

KOMU SZPITAL?

Nowy szpital w Piotrkowie nie ma jeszcze historii, a ma już legendę. Oczywiście legendę złego szpitala, w którym warunki pracy i leczenia oraz warunki sanitarne urągają elementarnym zasadom przyzwoitości. Jeśli idzie o stare szpitale, mieszczące się nierzadko w kiepskich budynkach, często adaptowanych doraźnie do potrzeb lecznictwa, to można im wiele zarzucić, ale i dużo wybaczyć, natomiast gdy mamy do czynienia z obiektem oddanym do użytku przed dwoma laty, wtedy sprawa jest zupełnie inna. Trudno bowiem sobie wyobrazić, żeby szpital oddany do użytku w drugiej połowie XX wieku tak został zaprojektowany i wykonany, że w gruncie rzeczy nie nadaje się najprawdopodobniej do leczenia chorych. Słowa te brzmią jak ponura demagogia, lecz warto zadać sobie pytanie, po co w ogóle taki szpital powstał. Choć przyznać trzeba, że z zewnątrz budynek jest efektowny i fotogeniczny.

Prawda jest taka, że zimą bieżącego roku istniała groźba ewentualnej ewakuacji chorych z tego nowego obiektu. Temperatura na salach dochodziła do 10 stopni Celsjusza. Latem z kolei, całymi godzinami w niektóre dni nie ma dopływu wody. Tego, co się wówczas dzieje, nie da się opisać, można sobie tylko wyobrazić, jak wyglądają w takich chwilach warunki sanitarne. Dla ilustracji podam, że na oddziale 63-łóżkowym znajdują się zaledwie dwie ubikacje. Jedno oczko przypada tu na 15 pacjentów, gdy tymczasem norma wojskowa przewiduje jedno oczko na 7 zdrowych żołnierzy.

Poruszam sprawy przyziemne, niemiłe dla ucha, oka i nosa, ale nie jestem w tej kwestii pionierem, raczej epigonem. Pisano już w naszym kraju eseje na temat zwykłych wychodków.

Ścieki z tego szpitala kieruje się do kanalizacji miejskiej, lecz przepompownia lokalna jest za mało wydajna i nie może tego wszystkiego z terenu budynku przepchnąć dalej. Studzienki sanitarne są natomiast zbyt małe, żeby mogły te wszystkie nieczystości magazynować i w ogóle są tak zrobione, że trudno je czyścić. Ponadto nie ma przedsiębiorstwa, które by chciało to robić. O takich drobiazgach jak niewydarzona pralnia, kuchnia, szatnia, czy magazyny na brudną bieliznę, nie będę już wspominał, powiem tylko, że są to rzeczy karygodne.

Właśnie w dniu, w którym odwiedziłem Piotrków, dyrektorzy otrzymali upomnienie na piśmie z miejscowej stacji sanitarno-epidemiologicznej za zły stan higieny na terenie szpitala. Co najciekawsze, dyrektorzy ci naprawdę są niewinni, a w dodatku — bezsilni. Kierownictwo stacji san.-epid. w Piotrkowie, chcąc być w porządku, powinno raczej upomnienie wysłać swym przełożonym w Warszawie, którzy nieudany projekt budynku szpitalnego przecież przedtem znali, ponieważ widnieje na nim ich parafa. Procedura jest taka, że każdy projekt budynku szpitalnego przed oddaniem do realizacji musi uzyskać akceptację czynników sanitarno-epidemiologicznych.

Wyobrażam sobie, że ludzie prostolinijni zadadzą sobie zaraz pytanie: kto ponosi odpowiedzialność za budowę tak chromego szpitala? Pomijając fakt, że pytanie takie jest fatalne i w złym tonie, odpowiedzi i tak nie otrzymają. Projekt szpitala wykonało Warszawskie Biuro Projektów, które już dawno, widocznie ze wstydu, samo się zlikwidowało. Ale gdyby nawet istniało do tej pory, to i tak nie dowiedzielibyśmy się, kto jest winien, gdyż okazałoby się, że to nie architekci są źli, lecz same zasady, czyli przeróżne normy, których twórcy już dawno są na emeryturze lub nieobecni w kraju, albo w ogóle na tym świecie. A czy można mieć pretensje do Pana Boga?

W taki oto sposób odpowiedzialność zostaje rozmydlona w czasie i przestrzeni, rozmieniona na cząsteczki i atomy. Zresztą, gdyby nawet jakimś cudem udało nam się zdybać winnych, to i tak błędów, które popełnili, nie uda się cofnąć. Przykładem niech będzie Piotrkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane, które szpital postawiło. O ile mi wiadomo, jeszcze się ono samo nie zlikwidowało, a mimo to nie może usunąć usterek, jakie popełniło w trakcie radosnej twórczości. Dyrektorzy tego Przedsiębiorstwa przyrzekali i przysięgali na brodę Mahometa, że do maja br. usuną w szpitalu wszelkie niedoróbki. Co to są niedoróbki? W przetłumaczeniu na język polski — po prostu zła robota. Poza tym to wcale nie ich wina — winni są podwykonawcy. Podwykonawcy twierdzą, że to wina podpodwykonawców. I tak dalej, aż do kompletnego ogłupienia. Swój udział w „niedoróbkach" ma również łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych, ul. A. Struga 21. Dziś, ażeby piotrkowski szpital dobrze funkcjonował, należałoby w niego zainwestować nowe miliony, przebudować, wyremontować, zmodernizować i unowocześnić. Wątpię jednak, czy i wtedy pacjenci byliby szczęśliwsi. Szpital posiada jedną dyrekcję, lecz mieści się w trzech różnych, oddalonych od siebie obiektach. Ma więc trzy izby przyjęć, trzy pracownie radiologiczne itp., a personelu jak na jedną izbę przyjęć, jedną pracownię radiologiczną, jedną pralnię itd. Ponadto odczuwa wyraźnie brak lekarzy i pielęgniarek, nie mówiąc już o salowych, bo o te obecnie trudniej niż o profesorów. A dlaczego trudniej, to wszyscy w całej Polsce wiedzą, tylko nikt tego głośno nie chce powiedzieć, więc i ja nie będę się wychylał. Powiem tylko, dlaczego w szpitalu brak jest dezynfektorów. Dezynfektor, to w nomenklaturze służby zdrowia zawód, a nie maszyna. Otóż na stanowisku dezynfektora w szpitalu może pracować tylko mężczyzna i to w dodatku bardzo zdrowy fizycznie. Jego zarobek miesięczny wynosi 1.200 zł. Pracują więc na tym stanowisku mężczyźni zdrowi, ale tylko fizycznie. Jest to zawód o najszybszej rotacji kadr. W Piotrkowie np. na przestrzeni dwóch lat zmieniło się pięciu dezynfektorów.

Do największych paradoksów piotrkowskiego szpitala należy brak wykwalifikowanych pielęgniarek. Tymczasem w mieście znajduje się szkoła pielęgniarska, która wypuszcza corocznie kilkadziesiąt absolwentek. Jak to się dzieje, że nie trafiają one do miejscowego szpitala, jest tajemnicą nie do wyjaśnienia.

Przepis – święta krowa

Wakacje każdemu kojarzą się z obrazkiem rozradowanych najmłodszych obywateli, wyjeżdżających z miasta na kolonie letnie i obozy.

Czy wszyscy wyjeżdżają? Na pewno nie. Pałętają się po mieście zarówno dzieci małe jak i starsze, młodzież — także. Jedni spośród najmłodszych łodzian przebywają w okresie wakacji w mieście po kilka lub kilkanaście dni, inni — cały miesiąc, niektórzy — nie opuszczają miasta w ogóle.

Należałoby się nimi zająć. Naturalnie! Ale kto? ZMS — nie kwapi się. ZHP — wycofał się wobec braku kadry w związku z nasileniem akcji obozowych. Na placu boju pozostają władze szkolne i Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

Ale tu zaczyna się przedziwna kołomyjka: inspektoraty oświaty organizują półkolonie zgodnie z przepisami na zasadach analogicznych co i kolonie letnie. A więc: karty uczestnictwa z pieczątkami zakładów pracy, poświadczeniami o wysokości zarobków i odpłatnością uiszczoną z góry za cały turnus, tj. 26 dni. A tu w niektórych wypadkach rodzicom chodzi o opiekę tylko przez kilka dni, lub też nie wiedzą dokładnie, kiedy dziecko uda się im gdzieś wysłać. Niekiedy są to zresztą dzieci najbiedniejsze, pozbawione całkowicie opieki rodziców. Ostatecznie — z różnych względów nie płacą i — nie zapisują na półkolonie.

Rezultat nietrudny do przewidzenia: są półkolonie z zabezpieczeniem finansowym, lokalowym, z zaangażowaną kadrą(!), ale... bez dzieci.

A TPD? Dzieci są, dużo dzieci, bo tutaj wpłaca się tylko dwa złote za jeden dzień (otrzymują za to całodniową opiekę i dwukrotny posiłek) bez zobowiązania, że musi się przyjść jutro, a tym bardziej — przez cały turnus. Ale — brak środków. Inspektoraty oświaty pieniądze mają (i te nie wykorzystane przez ZHP i nie wykorzystane własne), ale nie mogą ich przekazać TPD, bo na to nie pozwalają przepisy!

Brak również kadry. Nauczyciel — też człowiek i pragnie w czasie wakacji od ciągłego wychowywania odsapnąć. Są wprawdzie liczni społeczni działacze TPD, kadra dobra, doświadczona w pracy z dziećmi, ale bez formalnych kwalifikacji. Więc — nie wolno! Przepisy. Ale jednak działa w Łodzi 14 stanic TPD z blisko tysiącem dzieci, więc jakoś tam można było...

Tak! Ale to tylko dzięki temu, że w administracji szkolnej ktoś w jakiś sposób zechce obejść pozbawione sensu przepisy, ryzykując wszakże, że „podpadnie" w czasie kontroli finansowej. To tylko dzięki temu, że w TPD są ofiarni społeczni zapaleńcy, którzy czasami otwierają stanice „w ciemno", bez zabezpieczenia finansowego, bez „kwalifikowanej" kadry.

Ale — czy tak być powinno?

I ostatecznie, nie można się tak bardzo dziwić, jeżeli ludzie chcą „być w porządku". I nie robią nic. A efekty? Na Widzewie TPD nie otworzyło ani jednej stanicy, kierując dzieci na półkolonie Inspektoratu Oświaty. A tych półkolonii Inspektorat otworzył aż dwie: przy ul. Przędzalnianej 70 (frekwencja: 19 dzieci!) i przy ul. Nowogrodzkiej 6/14 (frekwencja: 21 dzieci). I to wszystko. W rejonach zwartej zabudowy na wschód od ul. Kilińskiego pomiędzy Tuwima i Armii Czerwonej, na Stokach,, na Zarzewie o dzieciach nie pomyślano.

W dzielnicy Górnej — TPD zorganizowało siedem stanic dla ponad 400 dzieci, a na Bałutach, mniej więcej z tą samą liczbą mieszkańców, tylko trzy dla 230 dzieci. Polesie ma tylko dwie półkolonie dla około 100 dzieci i dwie stanice TPD. A gdyby nanieść na plan miasta Łodzi tę sieć półkolonii i stanic okazałoby się, że w niektórych rejonach, i to zwartej zabudowy, dzieci są pozbawione latem zorganizowanej opieki. Dotyczy to zarówno Śródmieścia jak i niektórych takich rejonów jak Teofilów, Stoki czy Zarzew. Ale — przepisy nie pozwalają.

Jestem za praworządnością. Łamanie czy obchodzenie przepisów nie powinno mieć absolutnie miejsca.

Ale przepis to nie „święta krowa". Można i należy go zmienić, względnie usunąć, jeśli staje na przekór społecznej potrzebie. Bo staje się zawalidrogą, a także parawanem dla ludzi ostrożnych, bez inicjatywy, którzy „są w porządku", nic nie robiąc.

S. K.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

misji egzaminacyjnej, z głosem doradczym, jako przedstawiciel organizacji młodzieżowej. Komisja pracuje w dwu zespołach, którym przewodniczą prof. Wanda Jakubowska i doc. Jerzy Mierzejewski — dziekan Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej. Znajduję się w drugim zespole.

Egzamin rozpoczyna się od rozmowy, oceny prób twórczości i aktywności artystycznej kandydata. Pierwszy kandydat jest widocznie stremowany, a nawet wygląda na lekko wystraszonego. Dziekan Mierzejewski szybko wciąga go w rozmowę.

— Na zakończenie niech nam pan powie, jakie filmy chciałby pan robić?

— Niepokoi mnie alkoholizm jako zjawisko społeczne. Naród pijany, to chory naród. Chciałbym podjąć tę tematykę.

— Czy to nie jakaś obsesja? Ten motyw często przewijał się w naszej rozmowie.

— Może i tak. Przeżyłem to we własnej rodzinie, wiem co to znaczy.

— Pije pan?

— Owszem. Niewiele. Jak wszyscy. Dla towarzystwa.

— To znaczy niezupełnie jak wszyscy.

— No, tak.

Kandydatka, absolwentka filologii polskiej jest wyjątkowo ładna, swobodna, bezpośrednia. Posiada wielu znajomych w telewizji warszawskiej.

— A teraz niech pani nam zdradzi, dlaczego chce pani zostać reżyserem?

— Szczerze?

— No, pewnie. Tylko szczerze.

— W głębi duszy każdy kryje jakiś sen o potędze, chce decydować, mieć autorytet, być ważnym, spełnić marzenia mamy. Chciałabym tego samego.

— Czyli jakby pragnienie władzy?

— Chyba tak.

Z plikiem rekwizytów wchodzi następny kandydat. Mały, lekko utyka. Rozkłada na podłodze prace fotograficzne. Na stole kładzie pocztówkę z naklejonym własnym zdjęciem. Strzałka na pocztówce kończy się napisem przy czole: „Proszę nacisnąć". Po naciśnięciu lekkie piśnięcie. Zdjęcia wzbudziły po raz pierwszy większe zainteresowanie.

— Ma pan przyjaciół?

— Niewielu. Ale mam. Dwóch, może trzech.

— Co to za ludzie?

— Ciekawi, a zarazem bardzo dziwni. Jeden jest psychologiem, drugi malarzem. Kiedy nie ma co robić, siedzi u mnie całymi dniami. Dwa razy próbował się powiesić. Ostatnim razem na hamulcu w pociągu pospiesznym.

— Czy to ważne w jakim pociągu?

— W pospiesznym może większy efekt.

— Ma pan innych znajomych?

— Sporo, ze środowiska artystycznego.

Z 62 kandydatów do eliminacji II stopnia przechodzi 41 osób.

Po egzaminach z analizy obejrzanego filmu dokumentalnego, wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, literatury, wiadomości o sztukach widowiskowych, z historii sztuki i języka obcego na egzamin końcowy zakwalifikowanych zostaje 25 osób — 5 kobiet i 20 mężczyzn.

Egzamin końcowy — konkursowy. Obejmuje fotografowanie „na sucho", zadanie inscenizacyjne, adaptację wybranej notatki prasowej dla potrzeb filmu lub telewizji, malowanie kompozycji barwnej na dowolny temat, wykonanie reportażu fotograficznego i przeprowadzenie wywiadu dziennikarskiego z dowolnie wybraną osobą, interpretację fragmentu prozy i wiersza.

Wysoki, niespokojny chłopak wyciąga pierwszą z brzegu kartkę — zadanie do inscenizacji:

„Kowalski wypożyczył klucz od swojego mieszkania Malinowskiemu, dla brata Malinowskiego, który przyjechał z innego miasta i nie ma gdzie przenocować. Kowalski musi powrócić do domu. Wcześniej do mieszkania zakradł się złodziej, którego Kowalski uważa za brata Malinowskiego?

— Zrozumiałeś? Nie bardzo? Zmień! Nie będzie to ci brane absolutnie za minus.

Jest w tej radzie wiele życzliwej troski. Chłopak jest na pierwszej lokacie po egzaminach teoretycznych. Oby nie potknął się na egzaminach praktycznych. Niejednemu się to już przytrafiło.

— Chwileczkę... Kowalski... Malinowski. Malinowski... Kowalski. W porządku. Rozumiem.

— Poczekaj. Nie śpiesz. Wybieraj inną.

— Nie, dziękuję. Wyciągnąłem, to znaczy — była dla mnie przeznaczona.

— Nie bądź fatalistą.

Egzamin na

Inscenizacje dostarczyły najwięcej rozczarowań. Większości brakło komunikatywności, sensu, pointy. Najbardziej oczytani, elokwentni kandydaci okazywali się nagle najbardziej bezradni. Gubili się, przepadali.

— No, cóż z tym pana Malinowskim? — pada pytanie do prezentacji scenki, która z pewnością należała do słabszych.

— To wszystko ma sens. Złodziej dostaje się do mieszkania wytrychem. Kowalski otwiera drzwi kluczem. Mamy więc opozycję — wytrych — klucz. Złodziej w czasie włamania przeżywa wstrząs, jak podczas stosunku, a w chwili otwierania drzwi odczuwa szczytowanie. Są to rzeczy oparte na badaniach naukowych.

Mówi się w dyskusji toczącej się w zespole egzaminującym o potrzebie zmiany systemu egzaminów, a nawet koncepcji przy-

TAKSÓWKA TEŻ DOM...

Kremowo-biała „Warszawa", za kierownicą młoda, przystojna, uśmiechnięta kobieta. Pasażer zajmuje miejsce w taksówce, patrzy na kierowcę, a potem moment zaskoczenia.

— O, to pani kobieta! Pewno pani z mężem jeździ na zmianę? A dzieci państwo mają? Jak pani sobie radzi? Pewnie mało czasu dla domu...

Kobieta w taksówce, przy kierownicy. Jest ich w Łodzi siedemnaście. A że taksówek mamy 1.700, więc rachunek prosty — co setny kierowca łódzkiej taksówki to kobieta. Niewiele to, ale i tak od niedawna. Mniej więcej 10 lat temu byli tylko mężczyźni. Po prostu męski zawód. Pani Aleksandra Stefaniak, właścicielka kremowo-białej „Warszawy" jest przeciwnego zdania. A jej zdanie się liczy, bo jeździ swoją „Warszawą" prawie dziesięć lat. Była w Łodzi drugą kobietą, która odważyła się zasiąść za kierownicą taksówki.

— Jak do tego doszło?

— Zupełny przypadek. Chodziłam do szkoły pedagogicznej i miałam zamiar zostać nauczycielką. Ale za wcześnie wyszłam za mąż, a mąż nie chciał mieć żony-uczennicy. Dzięki pomocy rodziców kupiliśmy samochód, więc ukończyłam kurs na amatorskie prawo jazdy. I bardzo mi się podobało prowadzenie wozu. Pomyślałam, że to mógłby być mój zawód. Zdawało mi się wówczas, że prowadzenie taksówki to taka sama przyjemność jak jeżdżenie własnym wozem. Postanowiłam zdobyć prawo jazdy II kategorii. Warunkiem tego jest roczna praca w zawodzie kierowcy i przejechanie 25 tysięcy kilometrów. No i wszystko to przeszłam.

— Od jak dawna pani jeździ?

— Od 1960 roku, a w taksówce od 1962.

— Więc Pani zdaniem nie jest to zawód męski?

— Oczywiście, że nie. Tak samo męski jak i kobiecy. Wiozłam kiedyś rodaka z Filadelfii, który w Polsce spędzał urlop. Był zachwycony tym, że w Polsce kobiety są taksówkarzami. Uważał to za objaw wysokiej kultury społeczeństwa. U nich jest to zawód bardzo niebezpieczny, nawet dla życia. Miał kamerę i pytał czy może mnie sfilmować, żeby pokazać potem żonie. Po sześciu latach, traf chciał, że znów wsiadł do mojej taksówki (przyjeżdża tu co roku), nie poznał mnie i opowiedział mi, że kilka lat temu już woziła go kobieta.

— Rzadko wprawdzie, ale i u nas zdarzają się przykre wypadki.

— Cóż, ja jeżdżę tylko w dzień i tylko w obrębie miasta. Ale wydaje mi się, że praca taksówkarza jest u nas cięższa dla mężczyzny, niż dla kobiety. Po prostu pasażerowie mają dla kobiet więcej względów. Nie grymaszą, starają się być uprzejmiejsi, wyrażają się kulturalniej. Czasem są nawet zbyt uprzejmi, ale na to narażona jest w końcu każda kobieta, więc to tylko kwestia utrzymania dystansu.

— Nigdy nie miała pani żadnego kłopotu z pasażerami?

— Zdarzyło mi się kilka razy, że nie zapłacili za kurs, ale na tyle lat to przecież niewiele.

— A czy zna Pani mechanizm wozu? Potrafi Pani sama naprawić w razie potrzeby?

— Znam go na wskroś, nie ma dla mnie niespodzianek. Jeśli to nie jest praca za ciężka dla mnie fizycznie, wykonuję sama wszystkie naprawy.

Pani Aleksandra, wśród licznych nagród i wyróżnień, posiada nagrodę za obsługę wozu. „Moja taksówka, to też mój dom — powiada — więc trzeba o nią dbać". Musi być w niej ładnie, czysto, estetycznie. I żadnych brzydkich słów, zachowywać się też trzeba tak jak w cudzym domu.

— Jeździ Pani ulicami Łodzi już dziesięć lat. Czy coś się na nich przez ten czas zmieniło?

— Trudniej teraz jeździć. Przybywa pojazdów i to się czuje, jest coraz ciaśniej na jezdni. Nie mówię już o śródmieściu, które mimo poszerzenia ulic jest coraz ciaśniejsze, dziś nawet Piotrkowską trudno przejechać. Ale także nowe osiedla budowane są bez myśli o przyszłości. Między blokami uliczki takie ciasne, że dwa wozy nie mogą się minąć, a i główne ulice nowych dzielnic niedługo będą za wąskie. Złe to planowanie, które nie przewiduje ciągłej rozbudowy miasta i jego taboru.

— Jakie cechy, Pani zdaniem, powinien mieć dobry kierowca?

— Opanowanie, szybki refleks, zimna krew. To są chyba warunki niezbędne, bez nich praca staje się niebezpieczna. Bo przecież kierowca jest zależny nie tylko od swoich umiejętności. Także od tych, których na jezdni spotyka. Kierowców i przechodniów.

— Jak czuje się Pani jako przechodzień?

— Często łapię się na tym, że z lękiem przechodzę przez jezdnię, upewniając się wielokrotnie czy nie zbliża się jakiś pojazd. W każdym razie w samochodzie czuję się znacznie pewniej.

— To by świadczyło o niezbyt wielkim zaufaniu do kierowców?

— Nie, tylko nie chciałabym im przeszkadzać. Wiem przecież, że każdy mechanizm jest zawodny. Sama byłam już nieraz w takich sytuacjach, że tylko zimna krew pozwoliła mi uniknąć wypadku.

Tu, odpukując trzy razy w niemalowane drzewo, trzeba wspomnieć że Aleksandra Stefaniak nie miała jeszcze ani jednego wypadku, ani razu nie przekroczyła przepisów drogowych.

— Ma Pani dwóch synów, czy interesuje ich samochód?

— Starszy, 18-letni rwie się już do prowadzenia wozu i chyba go od tego nie powstrzymam.

— A chciałaby Pani?

— Moi rodzice sprzeciwiali się kategorycznie gdy wybrałam ten zawód. Bali się o mnie. Teraz z kolei ja nie chciałabym, żeby moi chłopcy poszli w moje ślady.

— Dlaczego, przecież Pani ten zawód lubi?

— Boję się o nich, wolę, żeby mieli bezpieczniejszą pracę. Wtedy kiedy ja prowadzę, wydaje mi się, że w każdej sytuacji dam sobie radę. A o nich będę się niepokoiła.

— Więc jednak. Jednak jest to praca ciężka i niebezpieczna. A jak Pani odpoczywa najchętniej?

— Najbardziej odpowiada mi wypoczynek czynny. Nie lubię bezruchu, bezczynność mnie męczy.

— A więc pracę społeczną, o której słyszałam, traktuje Pani jako wypoczynek?

Pani Aleksandra znana jest ze swej aktywności społecznej. Jest czynnym członkiem Stronnictwa Demokratycznego, jest członkiem komisji kulturalno-oświatowej przy Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług, jest współorganizatorką wszelkich akademii, uroczystości gwiazdkowych dla dzieci i rencistów, działa w komitecie opiekuńczym Domu Dziecka na Radogoszczu, w Komitecie Opieki Społecznej i Wojewódzkiej Komisji Sprzedawców „Ruchu". Aż wierzyć się nie chce, że daje sobie z tym wszystkim radę.

— A co w Pani zawodzie jest najbardziej przykre?

— Wścibstwo i gadulstwo pasażerów. Nie robią tego zresztą ze złej woli. Ale codziennie, niezliczoną ilość razy słyszę: Pani samotna czy mężatka? Prowadzi pani na zmianę z mężem? A dzieci pani ma? A jak sobie pani z tym wszystkim radzi? Kiedyś sprzykrzyło mi się i zamiast odpowiedzieć, zapytałam: a pana żona jak się miewa? A czy pracuje? A dzieci pan ma? Duże? Grzeczne? Mój pasażer na chwilę oniemiał, a potem mnie przeprosił. Ale przecież nie chce mi się ciągle dawać takich lekcji.

— Może to tylko panowie czują się w obowiązku zabawiać Panią rozmową?

— Zapewnej ale panie też dużo mówią. Tyle, że więcej o sobie. Bo kobiety to znów lubią się zwierzać.

— Np. to ze mną czuła się Pani jak z pasażerem, wypytałam o wszystko dokładnie. Miejmy nadzieję, że dziś już nie będzie Pani opowiadać o sobie.

Żegnamy się, bo właśnie jest nowy pasażer. Wsiada i mówi: Na Żubardź poproszę. O! to pani jest kobietą. Numer 884? Dobry numer, w sumie dwadzieścia. Dawno pani już jeździ? Na zmianę z mężem?...

Notowała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

PÓŁKA KSIĄŻKAMI

FANTAZJA, NONSENS I RZECZYWISTOŚĆ

„Czytelnik" przedstawił nam ostatnio głośnego i bardzo kontrowersyjnego młodego pisarza hiszpańskiego, którego krytycy jego kraju uznali za twórcę najbardziej oryginalnego *). Gonzalo Suarez przez pewien czas był dziennikarzem, a następnie poświęcił się literaturze. Debiutował w 1963 roku. Jego twórczością zainteresowała się hiszpańska kinematografia. Sfilmowano m. in. epizod z wydanej obecnie krótkiej powieści pt. „Rocabruno i Ditirambo".

Polski czytelnik otrzymał dwie krótkie powieści hiszpańskiego pisarza: „Zamek Fortynbrasa" i wspomnianą już „Rocabruno i Ditirambo", wydane w jednej książce. Obie te powieści przypominają trochę atmosferą obrazy Salvatore Dali. Pełne są fantastycznych sytuacji i nonsensów, na które składają się elementy rzeczywistości, ale tak przemyślnie z sobą poukładane, aby efekty okazały się absolutnie nieoczekiwane i absurdalne. Autor burzy powszechnie przyjęte struktury myślowe i pisarskie. Czytelnik jest z początku tym zaskoczony, ale przyjmuje grę zaproponowaną przez Gonzalo Suareza, która go najpierw bawi, a później zaciekawia. I chyba o to najbardziej autorowi chodziło.

W obu utworach Suareza widać dziennikarską praktykę. Jeden i drugi są skonstruowane z dziennikarskiego materiału, z notatek, krótkiego opisu wydarzeń, depesz i komunikatów. Jest to jednak zabieg formalny, podporządkowany naczelnemu celowi — burzeniu zastanych struktur. Nie dlatego, że nie podobają się one autorowi, ale dlatego, żeby pokazać, iż przy innym układzie rzeczywistości wynika z niej coś zupełnie innego. Coś, co wydaje się nam nonsensem. Czy rzeczywiście jest nonsensem?

B. M.

*) Gonzalo Suarez, „Zamek Fortynbrasa — Rocabruno i Ditirambo". Czytelnik, 1971, str. 270, cena 18 zł.

Targowej

jęć do Szkoły Filmowej. Czy rzeczywiście kandydaci muszą koniecznie legitymować się dyplomem ukończenia wyższej uczelni? Zostawmy jednak te istotne problemy na czas rozważań poegzaminacyjnych.

Nadchodzi ostatni dzień egzaminów — rozmowa ostateczna.

Staje do nich 24 kandydatów — jeden z kandydatów sam zrezygnował z dalszego udziału w egzaminach. Chociaż większość ocen została już wystawiona, to rozmowa jest przysłowiowym języczkiem u wagi, teraz ma zapaść ostateczna decyzja: przyjąć — odrzucić. Kandydaci przedstawiają reportaż fotograficzny oraz bronią swojego wywiadu dziennikarskiego

Fotografia to nie tylko anegdota, to sposób widzenia świata, interpretacji tego, co się widzi. Na stole przed komisją seria zdjęć z reportażu zatytułowanego „Robotnicy".

— Z którego zdjęcia chciałaby pani zrezygnować?

— Czy muszę?

— Nie musi pani, ale które uważa pani za najmniej potrzebne?

— Chyba to.

— Proszę odłączyć. Czy lepiej teraz? Dlaczego?

— Całość stała się wyrazistsza. Bardziej dynamiczna.

— No, widzi pani.

Tematem wielu reportaży były podwórza łódzkie, ich niecodzienna, niezauważalna w codziennym pośpiechu, egzotyka.

Plon wywiadów dziennikarskich był bodajże najciekawszy z tego, co zaprezentowali kandydaci na przyszłych reżyserów. Szukali swoich rozmówców na ławce w parku, przed budką z piwem, w komisariacie MO, u fryzjera, w Klubie Dziennikarza. Oto początek jednego z nich.

„Moim rozmówcą jest 24-letni mężczyzna. Sześć lat spędził w więzieniu za kradzieże. Chętnie godzi się na rozmowę.

— Boję się kraść — mówi. — Nie pracuję. Czekam na dziewczynę. Jestem chory na serce. Mam zaświadczenie. Pokażę pani. — Wydobywa je z dowodu — pokazuje".

Dziewczyna, której z taką szczerością zwierzał się nieznajomy człowiek, którego potrafiła ośmielić do mówienia o rzeczach najbardziej osobistych, siedzi teraz przed komisją egzaminacyjną skrępowana i speszona. Pracę mówią za nią. Jest jedyną osobą z całej grupy, która nie otrzymała ani jednej oceny niedostatecznej.

Najmniejszy ze wszystkich zdających kandydatów wprowadzał najwięcej ożywienia i zamieszania. Był oryginalny i nieszablonowy. Trudno było jednak wywnioskować, ile było w tym pozy, a ile autentycznych przemyśleń. Był w centrum uwagi komisji przez cały egzamin.

— Czy jest pan zadowolony ze swojego wywiadu?

— Tak. Wybrałem na rozmowę milicjanta, który niedługo idzie na emeryturę. Rozmawialiśmy o różnych, wcale nie najłatwiejszych sprawach. O moralności młodzieży, o karze śmierci. Zapytałem go też, co sądzi o wolnej miłości. Myślałem, że będzie ją atakował. Ma dorosłą córkę. Odpowiedział: najważniejsze jest uczucie i uczciwość między ludźmi. Jestem zadowolony, że go spotkałem.

Rozmowa jest długa i wcale niełatwa. Trwa ponad pół godziny.

— Dziękujemy. Może pan już jechać do domu.

— Przekonał mnie.

— Mnie też.

Niełatwo przekonać kandydatowi komisję, że jego powołaniem życiowym jest nie biuro projektów, szkoła, handel zagraniczny, praca naukowa, a właśnie film. Nie ma ulg ani protekcji, pobłażania dla błędów, słabości, czy niedouczenia. Tu liczy się tylko talent. Jak go zdefiniować, wykryć, wydobyć nieraz wbrew postępowaniu i zachowaniu samego kandydata?

Czy system premiowania za poszczególne zadania odpowiednią ilością punktów jest idealny? Czy ich suma może stanowić o wartości i przydatności kandydata, dawać pojęcie o jego dyspozycjach twórczych? Czy do szkoły winni dostawać się ci, którzy najwięcej wiedzą, czy ci, którzy najwięcej potrafią?

Znaki zapytania można byłoby mnożyć. Tegoroczny egzamin potwierdził, że spora część kandydatów posiada sporą kulturę ogólną, literacką, nie ma natomiast wyobraźni plastycznej. Czy nie należałoby im w jakiś sposób pomóc?

Ostatnie zebranie komisji egzaminacyjnej.

— Panie rektorze, proszę państwa — rozpoczyna dziekan, Jerzy Mierzejewski. — W życiu każdego z nas zdarzają się różne chwile, radosne, nijakie i całkiem ponure. Podobnie jest w życiu pewnych zbiorowości, do których przychodzi zaliczyć nam szkołę filmową.

Rok bieżący z pewnością, jeśli przychodzi mówić o egzaminie wstępnym, na wydział reżyserii, nie da zaliczyć się do tych jasnych w historii szkoły. Kandydaci, poza wyjątkami, zaprezentowali mierny poziom. Moglibyśmy szukać i szukalibyśmy wielu przyczyn tego zjawiska. Nie zmieni ono faktu, który zaistniał.

Komisja Egzaminacyjna proponuje, by w ramach posiadanego limitu 12 miejsc przyjąć w bieżącym roku 8 osób, w tym 2 kobiety i 6 mężczyzn, oraz przemyśleć i doprowadzić do zreformowania rekrutacji i samych zasad egzaminowania.

Od października nowy rocznik studentów rozpocznie zajęcia w szkole przy ulicy Targowej 61/63.

MIECZYSŁAW GUMOLA

BERNARD SZTAJNERT

Włosy

Mieszkam bez mebli w małym pokoju, nie mam nawet szklanki... Przekrzywiając głowę piję wodę wprost z kranu. Śpię na podłodze zasłanej gazetami. Mój pokój przylega do mnie tak dokładnie, że niekiedy jestem zdziwiony możliwością powstania, zrobienia dwóch kroków...

Idąc ulicą tylko w ubraniu — noszę na sobie pomyślany pokój — zmniejszony, tylko na kadłubie. Wystająca nad sufit głowa posuwa się w przestrzeni wolnej nie tylko dla ruchu, lecz i dla myśli, nogi przechodzą nie obciążone.

W nocy leżąc na gazetach porastam sztywnym zarostem, błądzę palcami w ciemności po ostrej brodzie. Powoli tracę czucie w końcach palców, miękkość ciała i twardość zarostu stępiają się. Mam oto dwa, trzy śpiczaste podbródki i jednolitą, gładką powierzchnię palców. Tak aż do rana, kiedy zejdę do fryzjera i usiądę w fotelu okręcoym białym prześcieradłem.

W razurze zatracam czucie pokoju — jestem bez ścian, miękki, nakryty płótnem. Fryzjer pochyla się nade mną z otwartą brzytwą. Byłbym rycerzem — na białym płaszczu brak krzyża. Przeginam głowę do tyłu — czuję brzytwę fryzjera na gardle, to dobra brzytwa, goli mnie naciskając lekko tętnice. Wędruję za ostrzem brzytwy — fryzjer unosi mnie i opuszcza — żyję pod brzytwą bezpieczny. Jestem wolny i silny, władam sobą, aż po szpik kości, aż po wypuszczony ustami kłąb dymu tytoniowego.

Fryzjer odkłada brzytwę, okrywa mi twarz ręcznikiem. Opuszczam głowę, fryzjer odsłania mi oczy i pokazuje fotografię — głowa kobiety z kunsztowną fryzurą: „To pana gospodyni. Czesała się u mnie — mój majstersztyk. Czuła się pana gospodynią — bardzo pragnęła nią zostać... Zrobiłem jej piękną fryzurę, aby uczesana weszła do pana domu, niestety pana drzwi były zawsze zamknięte. Podobno bardzo trudno się do pana dostać. Powiadają, że pan nawet wychodząc, nie otwiera drzwi. Stała uczesana na schodach przed pana drzwiami — podniesiona ręka opadała. Zarumieniona schodziła po schodach coraz niżej, samotna schodziła z ostatniego stopnia, a jednak nie powstrzymywała kroku w dół. Znajdowała drewniane drzwi z wyłamaną kłódką i schodziła piwnicznymi schodami. Była to droga bez końca. Otwierały się przed nią coraz niższe, dolne kondygnacje. Wracała do mnie, burzyłem jej piękną fryzurę. Jedyny powiernik podziemnych wędrówek samotnej kobiety, czesałem jej włosy gładko i splatałem w prosty węzeł. Czesałem ją do codziennych zajęć. Zapominała pod moim grzebieniem, zapominała nawet o samej sobie — wychodziła z pustym koszyczkiem na ulicę po kilogram zbytecznych kartofli, po pęczek rabarbaru...

„Dziękuję" — powiedział fryzjer, zdejmując mi z ramion biały płaszcz. „Niech pan przychodzi" — mówił czyszcząc mnie miotełką — „Niech pan przychodzi codziennie, nawet gdyby pan nie miał pieniędzy — proszę się nie krępować". Położył mi rękę na ramieniu, zdejmując ze mnie pomyślane ściany pokoju. Na marynarce czułem tylko jego rękę, tak miękką w tej chwili, że wydawała mi się niefizyczna. Spojrzałem na fryzjera. Dawno już zauważyłem, że jego miękkie ciało nie było dostatecznie określone granicami skóry. Ożywiające go myśli utożsamiał ze swym organizmem, poddawał je każdą tkanką tak intensywnie, że czułem jego obecność jeszcze przy drzwiach razury, mimo, że zamiatał wtedy podłogę w drugim jej końcu — przy fryzjerskim fotelu.

Wyszedłem na ulicę. Moje mieszkanie pozostało stanowczo poza mną, osadzone na określonym piętrze między murami. Oczywiście musiałem tak chodzić, by móc powrócić do mego pokoju. To niezłomne, choć mało znane prawo! Znam ludzi, którzy nie powrócili do swoich mieszkań, tylko dlatego, że niewłaściwie postawili nogę, usiłowali kroczyć zbyt elastycznie, zbyt szybko. Odtąd ich ruchoma sylwetka podlegała mało widocznym, ale istotnym zmianom, traciła zdolność ruchu we wnętrzach ich własnych mieszkań, a co za tym idzie zdolność powrotu.

Pamiętając o tym szedłem powoli, celowo zgarbiony. Szedłem tak wolno, że ciągle jeszcze byłem pod drzwiami fryzjera. Sposobiłem się do przejścia ulicy. Przed oczami miałem wystawę, na której zapalał się i gasł czerwony napis: „Foto".

Widziałem fotografa, stał w otwartych drzwiach sklepu, na nogach miał filcowe pantofle, w spróchniałych zębach trzymał fajkę. Wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się do mnie. „Proszę, niech pan wejdzie. Pan nigdy do mnie nie przychodzi. Mieszkam na tej ulicy bardzo dawno, mieszkałem tu prawie zawsze. Przyzwyczaiłem się już do tego, że mieszkańcy po wizycie u fryzjera przychodzą do mnie. Czekam na pana codziennie, kiedy pan wychodzi po goleniu".

Wszedłem do sklepu. Fotograf posadził mnie na krześle, przy oszklonym stoliku. Zapalił lampę, ujrzałem pod szkłem szeregi fotografii, przedstawiających ludzi w różnych pozach. Niektórzy sfotografowani w czasie skoku, wisieli w powietrzu z rozpostartymi rękami i nogami.

„Najbardziej lubię" — mówił fotograf — „tych właśnie, pomiędzy niebem a ziemią. Wydaje się, że fruną do góry, a przecież wiadomo, że opadną".

Zwróciłem uwagę na często powtarzający się motyw leżącego mężczyzny z zamkniętymi oczami.

Fotograf stał za mną — patrzył przez moje ramię na zdjęcia: „To pan" — powiedział — „to pan w czasie snu. Nie poznaje pan siebie, to dobre zdjęcie, ale ja bywałem u pana — oczywiście tylko wtedy, kiedy pan spał — fotografowałem pana wiele razy. Nie próbowałem nawet przychodzić do pana w czasie dnia, nie otworzyłby pan mi drzwi... ale w czasie snu..."

Fotograf uśmiechnął się i mrugnął okiem. — „Przyszedłem do pana kanałem pana snu. Oczywiście praktycznie biorąc wyglądało to tak, że podważyłem haczyk przez szparę w drzwiach... Jak pan widzi na zdjęciu, jest pan zarośnięty, a jednak pan wygląda przystojnie, interesująco. Dlaczego goli się pan teraz codziennie"!?

Fotograf krążył po sklepie z rękami w kieszeniach. Palił fajkę. Kłęby dymu zakrywały mu twarz. Stanął odwrócony do mnie plecami i patrząc przez szybę mówił o fryzjerze: „On jest tutaj tak dawno jak ja. Jesteśmy w tym samym wieku. Dziwne, jak młodo wygląda. Głupcy się nie starzeją. Wszyscy jego klienci przychodzą do mnie. To jest nieodwracalne. Tylko ta kobieta — pana gospodyni, sam zrobił jej partacką fotografię — stręczyciel"!

„Pożegnam już pana" — powiedziałem wstając.

„Nie chce pan, żebym pana sfotografował"?

„Nie, kiedy indziej — teraz muszę kogoś poszukać".

„Nikogo pan nie znajdzie" — powiedział fotograf — „wszyscy już odeszli".

Położył mi na ramieniu ciężką rękę. Obiecał wykonanie specjalnej, artystycznej fotografii. „Mniejsza o koszta" — mówił. — „Za taką fotografię warto zapłacić samym sobą. Będzie owalna, nigdy się nie zniszczy, zrobimy na porcelanie".

Wychodziłem ze sklepu. Zatrzymywał mnie proponując zwiedzenie ciemni, mówił, że chce mi pokazać wszystkie sekrety swego warsztatu. Wyszedłem bez pożegnania. Krzyczał za mną: „Wrócisz do mnie, na pewno wrócisz do mojego zakładu"!

Znów byłem na ulicy, minąłem oba sklepy, minąłem samą ulicę. Chodzę teraz pionowo, chodzę uważnie, rozglądając się po schodach od najwyższych poddaszy do najgłębszych piwnic.

drżącym głosem. Odkryłem wtedy podstawową zasadę Wielkiego Śpiewu. Śpiew jest sprawą odwagi — oprócz tenorów bohaterskich bywają bohaterskie basy i barytony, a także bohaterskie alty i soprany. Śpiewałem nieustraszony — odnalazłem i pojąłem śpiew rury nad moim zlewem.

Milczałem, gdy wracali goście. Patrzałem im prosto w oczy, gdy zabierali moje fotele, gdy wynosili stół.

Śpiewałem w pustym mieszkaniu. Ciało moje rosło, wypełniałem przestrzeń foteli i stołu, byłem wszędzie. Ściany dotykały moich policzków. Goście wracali — tłoczyli się wokół mnie. Jeden z nich, zasłonięty moją ręką mówił: „Gdzie są twoje oczy? Czy nigdy nie miałeś oczu? — Jesteś ślepy, rozwidlony w pięć odnóg, dotykasz, tylko dotykasz, a przecież trzeba jeszcze wąchać, oglądać, słuchać i smakować, smakować".

Inny, wisząc na lampie, zapadał nogami w gąszcz moich włosów: „Stałeś się lasem" — mówił, podnosząc się na rękach. — „Lasem leżących, tłustych drzew. Lasem drzew milczących, lasem bez wiatru". Nadymając policzki dmuchnął w moje włosy.

Wyszli zabierając marynarkę i spodnie.

Sam i nagi poruszałem się powoli po mieszkaniu. Na czworakach przeciskałem się przez drzwi. Pochylając podbródek do piersi, widziałem moją kosmatą skórę.

Nie wiem czy odejście gości jest ostateczne. Pada deszcz. Stoją chyba na schodach. Może jeszcze powrócą z nożycami po moje włosy? Nęcą ich zapewne paznokcie. Tłumią w sobie pożądanie mojej skóry... Ale to tylko kwestia czasu. Pod moją skórą huczą strumienie gorącej krwi, głębiej są kości. Przypomniałem sobie historię o ludziach kupujących i sprzedających szkielety. Zatarasowałem sobą drzwi, przewidując ich powrót — powrócą po mnie — już słyszę ich wstępujące po schodach kroki. Stoją za drzwiami i cicho pukają: „Wyjdź już, wyjdź. To była twoja przeprowadzka. Przenieśliśmy rzeczy do nowego mieszkania. Wyjdź — ogolisz się, ubierzesz i zamieszkasz".

Powoli otwieram drzwi, przez szparę sączy się światło ich szeptów.

Rys. L. Woźnicki

STANISŁAW KASZYŃSKI

★ ★ ★

MICHAŁOWI

W dzień po przywiozłeś gałąź chojny,
drzewu odjętą, rzece, burzom.
Wiatr ją obmywał, blask kołysał,
ptak na niej siedział, słońce piekło.

Teraz w wazonie. W ścianach domu
odbiera przeszłość w swą iglistość,
zastygłe dzieje obecności,
wszystko, co słowem, co dotykiem,

A wiedzę cichą, płowiejącą
poszerza o ten ruch spojrzenia
na trawy ciepłe, w cień sprężony,
w oczy nabiegłe duszną chmurą.

Czy ptak był w on czas na twych rękach,
jaki sen przemknął przez zieloność,
równanie z jaką niewiadomą
rozwirowało się w powietrzu.

Ślad gdzieś pamięcią tylko były
korzenie obok nad pomiędzy
noc spazm udręki w świetle płochym
godziny w skrętach uległości

I płomień spustu niepodległy
zanikający w popielisku.
Gałęzi szorstka, wstrzymaj trwanie,
odejdźże w krew, oddal się w ziemię.

Przeprowadzka

Moi goście nazywają mnie poczciwcem. Bywają u mnie na niewyszukanych obiadach. Smażę na gazie jajecznicę, lub ziemniaki z cebulą, zaparzam trochę herbaty — to całe przyjęcie. Jemy, pochyleni na skrzypiących fotelach. Wstając z foteli goście unoszą na powierzchni ubrań kępki włosia. Oczyszczam ich w korytarzu szczotką, wychodzą po posiłku — nawet jeżeli pada deszcz. Czekają na schodach, siedząc na oknach, na stopniach, na poręczach.

Jestem sam. Czekam na koniec deszczu. Każdy z gości wychodząc zabiera jedną z moich książek — niekiedy zamiast książek otrzymują żyletki. Daję im żyletki wtedy, kiedy skarżą się na ból skóry po goleniu. Bywa i tak, że wychodzą unosząc i książki i żyletki. Zabrali mi telefon. Radio wynieśli we dwóch — pomagałem im, podtrzymując ciężką skrzynię z boku: „Uważajcie na schodach, nie stłuczcie lamp!" Uspokoili mnie uśmiechem i mrużeniem powiek. Zabierali płyty, wynosili pod pachą piosenki. Każdy zabrany dźwięk powiększał ciszę mojego mieszkania. Próbowałem sam śpiewać po wyjściu gości. Miałem drżący, ochrypły głos — śmiałem się. Zmęczony, czyściłem długo nos. Śpiewałem uporczywie, aż zrozumiałem, że śpiewam pięknie wtedy, kiedy śpiewam ochryple, kiedy śpiewam

Fot. L. Michajłowa

ZBIGNIEW IRZYK

Sceny okupacyjne

Niepostrzeżenie dla nas samych wszystko, co nas otacza, staje się historią, a pamięć z coraz większym trudem znajduje punkty zaczepienia dla przywołania obrazu zjawisk, które miały miejsce przed laty. Rzadko uświadamiamy sobie, że od września 1939 roku minęło już lat 32, a od powstania warszawskiego lat 27, że przeszło połowa społeczeństwa nie zna już tego okresu z autopsji i jedynie przez kontakt z dokumentami literackimi czy wspomnieniami uczestników tamtych wydarzeń może uświadomić sobie wielkość i tragizm losów narodu w czasie II wojny światowej. Dlatego im zapis pisarza jest wierniejszy i bogatszy w szczegóły, tym większe daje naturalne oparcie i impuls dla naszej pamięci, tym bardziej pobudza dzisiaj wyobraźnię czytającego.

Takim właśnie swoistym dokumentem literackim, przedstawiającym relacje świadka epoki w pryzmacie wizji artystycznej, jest ostatnia książka Macieja Józefa Kononowicza: „Szyfr o Ojczyźnie" *). Nazwałem tę książkę „scenami okupacyjnymi", chociaż także można by im przyznać różne miana: wspomnienia, reportaże artystyczne, opowiadania. „Sceny okupacyjne" pasują tu chyba najlepiej; są to bowiem fragmenty rzeczywistości wojennej, okupacyjnej i powstańczej jakby uchwycone w migawkowym ujęciu fotoreportera na jego „kliszy pamięci" — tak, jak zazwyczaj epokowe wydarzenia i doświadczenia zbiorowe utrwalają się w naszej jednostkowej świadomości (gdzie nieraz całkiem drobny szczegół urasta do rangi pierwszoplanowego przeżycia) w postaci luźnych, mniej lub bardziej przypadkowych impresji i obrazów. Dokładna, wręcz pedantyczna pamięć autora „ocala od zapomnienia" przede wszystkim to, co było codziennością życia okupacyjnego, niepowtarzalną atmosferą i klimatem tamtych dni, pełnych patriotycznego uniesienia i gorzkich rozczarowań, pełnych grozy i fascynacji śmiercią, bohaterstwa i pospolitości.

Niewątpliwie największą wartością prozy Kononowicza — obok tej dokładności rysunku notującego momenty mało znane i sytuacje charakterystyczne (np. śmierć anonimowej łączniczki, marsz harcerzy wprost pod kule) — jest różnorodność punktów widzenia i rozmaitość nastrojów, w jakich przedstawił fragmenty rzeczywistości. Jest tam liryzm, ale liryzm podany w dozie umiarkowanej i nieprzesadnej; jest humor, ale utrzymany zawsze w granicach dobrego smaku i wynikającego ze swoistego kontrapunktu zjawisk, których groteskowy charakter przybiera czasami formę tragiczną w skutek pointy możliwej do urzeczywistnienia tylko w tamtych czasach pogardy. Śmieszny i zarazem tragiczny jest przecież ów woźny z Muzeum Narodowego, udający w gablocie manekin przybrany w mundur sprzed wieku, czy przyjezdny handlarz z prowincji, podejrzany o współpracę z Niemcami, który przez całą Warszawę dźwiga w walizce ubitego cielaka i po pijanemu manifestuje przed hitlerowcami swój patriotyzm i pogardę dla nich. Śmieszny, ale jednocześnie godny politowania wydaje się nam także ów osobnik z kompleksem arystokratycznym, gotów wystawić się na każdą przygodę i na każde niebezpieczeństwo, byle móc przed światem i samym sobą grać kogoś z high life'u. Takich przykładów umiejętnego kontrastowania, podpatrywania życia w jego przemienności, w całej złożonej prawdzie psychologicznej o człowieku można by — oczywiście — przytaczać jeszcze więcej. Świadczą one o dużej przenikliwości pisarskiej i wrażliwości artystycznej Macieja Józefa Kononowicza jako prozaika.

„Szyfr o Ojczyźnie" jest książką ciekawie i żywo napisaną, zawierającą duże wartości poznawcze i patriotyczne. Rzetelnie i prawdziwie przedstawia ona obraz okupacji w wymiarze wprawdzie nie heroicznym, patetycznym, ale za to bardziej ludzkim, zwyczajnym. Zwłaszcza wzruszają i budzą szerszą refleksję z wyjątkową naturalnością i trafnie uchwycone na stronicach książki sceny z powstania warszawskiego, wzbogacające dotychczasową wizję tamtych dni o nowe momenty dotychczas pomijane czy lekceważone.

*) Maciej Józef Kononowicz: „Szyfr o Ojczyźnie". Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1971: str. 147, zł 15.

PÓŁKA Z KSIĄŻKĄ MI

REFLEKSJE ZNAD NILU

Książka pod tym tytułem *) jest zbiorem reportaży delegacji Związku Literatów Polskich, która przebywała dwa tygodnie w Egipcie, Anna Bukowska, Jerzy Putrament (przewodniczący delegacji), Tadeusz Strumff oraz Zbigniew Załuski dzielą się swoimi wrażeniami z tego, co zobaczyli na własne oczy, usłyszeli od swoich rozmówców, przeczytali w pismach i książkach. Mimo, iż autorzy piszą o różnych sprawach, całą tę książkę przenika atmosfera, w jakiej od kilku lat żyją kraje arabskie, wśród nich Egipt przede wszystkim: atmosfera napięcia, atmosfera konfliktu z Izraelem. I aż dziwne, że piszą pisarze, a tak mało w ich reportażach o literaturze egipskiej. Na dobrą sprawę jedynie w szkicu A. Bukowskiej „Moja ojczyzna Akka" znajdziemy trochę informacji o pisarzach, ich postawie, zainteresowaniach, książkach i filmach. Ale jest tego tak niewiele, że „Refleksje znad Nilu" są właściwie książką, poświęconą sytuacji politycznej i gospodarczej (oczywiście, widzianej oczyma pisarza), obyczajom, historii, życiu codziennemu, egzotycznej przyrodzie. A przecież jest to publikacja ciekawa, głównie dlatego, że wszystkie reportaże wyszły spod piór znakomitych autorów. Napisane są żywo, lekko, ukazują dzień dzisiejszy Egiptu w sposób konkretny i obrazowy. Nic tedy dziwnego, że książkę czyta się z zainteresowaniem, a jej wartość wzbogacają fotografie T. Strumffa i Z. Stolarka, ukazujące miasta, ludzi, piramidy i pustynię.

j. k.

*) „Refleksje znad Nilu", Książka i Wiedza, Warszawa 1971 r., cena: zł 20.—

Przeszłość i teraźniejszość

Ciekawość i historia

Jeżeli możemy dziś mówić o poważnym przyspieszeniu rozwoju naszych badań historycznych nad dziejami najnowszymi, wiąże się to najściślej z udostępnieniem specjalistom niezbędnych źródeł i literatury, nie tylko krajowych, ale w znacznej mierze zagranicznych. Taki jest właśnie cel zagranicznych poszukiwań badawczych, które wciąż jednak dla wielu historyków są trudno osiągalne, po to sprowadza się, w miarę możliwości, zagraniczną literaturę, po to organizuje się zjazdy i sympozja naukowe, poświęcone wymianie poglądów i informacji o nowych materiałach. Dla badań nad dziejami najnowszymi nie bez znaczenia jest też polityka przekładów na język polski obcych dzieł naukowych. Na pewno nie historycy — profesjonaliści są ich głównym adresatem, bowiem tłumaczenia wydaje się u nas przede wszystkim z myślą o szerszym kręgu miłośników historii. W tej dziedzinie czyni się ostatnio wcale sporo, by wspomnieć choćby masową edycję znakomitej książki Bullocka, czy opracowaną przez Stanisława Zabiełłę serię pamiętników, do zrobienia jest jednak znacznie więcej. Lata zaniedbań, nie dostrzegania prostego faktu narastania ważkiej literatury pamiętnikarskiej czy naukowej sprawiły, że jest do wydania w tłumaczeniu polskim znacznie więcej, niż w ogóle możemy opublikować. Stąd bardzo ważną staje się sprawa selekcji, a zwłaszcza jej kryteriów...

Szczęśliwie zarzuciliśmy zwyczaj przekładania jedynie tych obcych dzieł, które w całości potwierdzają nasze własne racje, staliśmy się względnie tolerancyjni dla cudzych mniemań nawet wtedy, kiedy się z nimi nie możemy zgodzić. To już wiele, aleć przecież nie wszystko. Chciałoby się, aby ukazywały się po polsku wszystkie istotnie najważniejsze dzieła historyczne, które wnoszą trwały wkład do wiedzy o najnowszych dziejach świata, w tym także naszego kraju. Skoro jednak przekłady są nie dla uczonych, trzeba by tłumaczone książki miały jeszcze dodatkowy walor: aby były ciekawe, tak, aby mogły zainteresować szerszy krąg czytelników.

Z tą „ciekawością" bywa jednak w praktyce wydawniczej bardzo różnie. Wyrażałem już na tym miejscu swój sceptycyzm w stosunku do popularnej, na pewno jednak „ciekawej" książeczki o historii wywiadów. Dzisiaj mam w ręku rzecz znacznie poważniejszą i chyba jeszcze „ciekawszą", książkę Jacques de Launay „Historia tajnej dyplomacji od 1914 do 1945" wydaną przed rokiem (1970) przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, opatrzoną przedmową wybitnego znawcy historii politycznej prof. Henryka Batowskiego. Przeczytałem zarówno to, co napisał francuski autor, jak i to co dopisał polski profesor i postanowiłem się trochę pokłócić. Książka dotyczy „dyplomacji nieoficjalnej", takiej, która była prowadzona poza placówkami do celów dyplomatycznych powołanymi, zawiera ona „zarys działań uzupełniających w stosunku do dyplomacji oficjalnej w okresie od początku pierwszej do końca drugiej wojny światowej". Polski profesor przedstawia dzieło francuskiego autora od najlepszej strony, powiada, że jest to „historia żywa, a nie urzędowa, historia działań, mających na celu wspomaganie oficjalnej dyplomacji przez jednostki, nie skrępowane rygorami, ciążącymi na dyplomatach zawodowych. Albo też mamy tu szeroko zakreślone — często właśnie w obszernych cytatach ze źródeł — osobiste uczucia i poglądy jednostek wybitnych, prawdziwie lub tylko z racji pełnionej funkcji stojących wyżej na drabinie społecznej". Historyk prezentuje pisarza jako autora długiej listy książek o „sekretach dyplomatycznych", tłumaczonych na liczne języki, zgłasza wreszcie garść zastrzeżeń do jego poglądów i interpretacji, sformułowanych w delikatnej, wykwintnej formie. Nie ulega wątpliwości, że de Launay dorzucił tu i ówdzie wiązkę nie znanych informacji, najczęściej zresztą zupełnie drugorzędnych. Jego książka mówi jednak o autorze znacznie więcej, niż chciał o nim rzec polski autor przedmowy. Jest bowiem de Launay jednym z tych licznych we Francji pisarzy, którzy produkują łatwe i „ciekawe" książki historyczne dla zaspokojenia zainteresowań mieszczańskiego czytelnika co opłaca się zarówno autorowi, jak jego wydawcy. Jedni pisują rozmaite „vies romancées", drudzy rozpisują się o tajemnicach wywiadów i tajnej dyplomacji. Na jedno to wychodzi, bowiem jest to jeden rodzaj historycznego pisarstwa. Nie jest jednak de Launay hochsztaplerem. Taki zresztą nie utrzymałby się na rynku. Jest na swój sposób rzetelny, sięga do literatury i źródeł, rozmawia ze znacznymi niegdyś ludźmi, czasem wynajdzie jakieś dokumenty. A wszystko po to, by uczynić książkę „ciekawą" i nadać jej piętno prawdziwości — boć czytelnik bardzo nie lubi historii nieprawdziwych. Nawet we Francji. Dziwię się, że prof. Batowski zdecydował się napisać przedmowę do takiej pracy, a jeszcze bardziej, że nie dostrzegł w niej, z czym ma do czynienia. Bowiem tego rodzaju pisarstwo historyczne jest przecież jakąś grą pozorów, uprawianą w imię „ciekawości". Znacznie bardziej interesujący jest co drugi z tych pamiętników, z których korzysta de Launay. Sądzę też, że lepiej byłoby wydać u nas któryś z nich, choćby opis perypetii niefortunnego dyplomaty-amatora — Dahlerusa, niż tę niewątpliwie „ciekawą" — książkę pióra pana de Launay.

JOZEF GRZELAK

ANDRZEJ GRUN

LEGER*

W 1924 roku Leger pisał: „...mam do niej więcej zaufania niż do pana o długich włosach, fontaziu, pana, który upaja się swoją indywidualnością i wyobraźnią". Jak zwała się dama, której czynił tak szczerą deklarację? Fascynowała i fascynuje po dziś dzień. Jej imię wypowiadane było przez artystów awangardy, jak imię najczulszej kochanki. Dla niej włoscy futuryści pisali manifesty podobne miłosnym wyznaniom. Padano przed nią na kolana, przenosząc jej urodę nad piękno Samotrackiej Nike. Wielu gotowych było palić dla niej muzea i biblioteki. Delaunay, La Fresnaye, Czyżewski, Peiper, Przyboś pisali o niej poematy. René Clair uczynił z niej gwiazdę ekranu. Chciano dla niej zapomnieć na zawsze znaczenia słów: Michał Anioł, Tycjan, Rembrandt.

Jakie jej imię? Brzmiało ono MASZYNA. To imię w Paryżu, w Rzymie, w Rosji w latach dwudziestych upijało umysły najbardziej racjonalne, jak stare wino.

Legenda awangardy głosi, że wszystko zaczęło się w okopach, na jednym z frontów I wojny, oczarowaniem artylerzysty, Fernanda Legera, urodzonego w Normandii, w tym samym roku 1881, w którym na świat przyszli Picasso i Braque, wyjątkowym pięknem otwartego zamka działa kaliber 75. Miłość artylerzysty, który z zawodu okazał się być malarzem, do Maszyny trwała przez wiele, wiele lat. Podobno była szczęśliwa. Co prawda plotki szeptały, iż nie była to jedyna miłość Fernanda, ale czyż warto dawać posłuch plotkom? Tym bardziej, że najtęższe pióra krytyki artystycznej zawsze, i dziś także, kreśliły ich portrety jako pary najczulszej i najwierniejszej w świecie. Lecz z drugiej strony... Wszak w każdej plotce jest jakieś ziarno prawdy.

James Sweeney, krytyk amerykański, nazwał Legera „prymitywem nowych czasów". Trudno o trafniejsze porównanie. Leger przypominał dziecko, które wtargnęło do wielkiego magazynu z zabawkami i zachłystując się wielością przedmiotów bawi się w swoje zabawy, których prawideł dorośli nie są w stanie pojąć. Ten sklep z zabawkami to świat, przez który kroczy nowa cywilizacja, dorośli — to mieszczuchy blednące na samą myśl o nowym i ludzie obrośli kulturalną tradycją jak koralowe rafy. A dziecko jak dziecko. Tkliwe i czyste jest, okrutne i bezwzględne zarazem. Praktyczne w kategoriach utopii i przewrotne w wartościowaniu.

Zacznijmy jednak od początku. Leger odnosił się do tradycji, zwłaszcza do renesansu, nieomal z nienawiścią. Szydził jawnie z Michała Anioła, który „na próżno napinał muskuły swych posągów". Koślawy Chrystus z romańskich fresków był mu bliższy, bo prosty i szczery. Prostą i szczerą winna być sztuka nowej epoki. Prostota i szczerość winny zastąpić wiedzę o anatomii, perspektywie, pogoń za iluzją. Legera urzekła cywilizacja i to wszystko, co niosła ona ze sobą, a najpierw ogromne przeobrażenie otoczenia człowieka. Cywilizacja stworzyła „nową naturę" i tą „nową naturę" chciał Leger malować na swoich płótnach i jednocześnie uczestniczyć w jej powstawaniu. Nowy Jork nocą był dla niego równie piękny, jak drzewa, rzeki, kwiaty. Paryż widział pokryty od piwnic po dachy polichromią, przy której to robocie chciał zatrudnić 300.000 bezrobotnych. Z zachwytem patrzył, jak reklama wkracza w pejzaż miejski, w krajobraz zielony, burząc jego zastały, ckliwy, napęczniały sentymentalizmem porządek. „W pejzażach impresjonistycznych, tak melodyjnych i wdzięcznych pojawił się nagle napis — Dubonnet — i melodię diabli wzięli" — pisał. Co zachwycało go w reklamie? Jej rozmach, kontrast barw, ogrom płaszczyzn, lapidarność kompozycji, czystość kolorów. Te same cechy, które wprowadzał i rozwijał w coraz nowych wariantach na swoich płótnach. Wszędobylskość reklamy. To, że docierała wszędzie. Jakże jej tego pozazdrościł. Jeszcze jedno. Frapowała go nobilitacja przedmiotu. Przedmiot podniesiony w reklamie do rangi bohatera. Na równi z człowiekiem. Kiedy w 1930 roku namalował „Monę Lizę z kluczami", pisał, że wybrał ją właśnie, bo pasowała mu ona w kompozycji jako forma plastyczna. Czy jednak człowiek w kompozycjach Legera był jedynie formą „pasującą" w kompozycji przedmiotów, tak jak głośno chciał tego? Leger, uważny obserwator nie mógł nie zauważyć, że gdy robotnicy, między innymi dzięki niemu właśnie, zaczęli odwiedzać Luwr, zatrzymywali się przede wszystkim przed Moną Lizą. Na płótnach Legera właściwie bez przerwy obecna jest postać ludzka. Postać ludzka, wokół której krążą przedmioty. Postać ludzka w przedmiotach. Postać ludzka — przedmiot. A jednak — mimo zapewnień — coś więcej niż przedmiot znacząca. Człowiek — konstruktor, dyrygent, dyspozytor. Twórca i użytkownik maszyny. Pędząca, kolorowa lokomotywa mimo swej szybkości nie może przegonić renesansu.

Leger pojmował sztukę jak religię. Dzielił z Mondrianem i grupą „De Stijl" głęboką wiarę, iż poprzez rozwój sztuki ujętej w ramy racjonalizmu można dokonać daleko idących przeobrażeń społecznych. Sztuka zbudować mogła „społeczeństwo spokojne, uporządkowane, umiejące żyć pięknie, bez krzyku i romantyzmu". Czy rzeczywiście wierzył? Wiemy tylko, że na pewno chciał wierzyć. Miną lata. Burza II wojny przetoczy się nad światem. Podczas tej wojny żeden młody artylerzysta w błocie okopów nie będzie zachwycać się pięknem otwartego zamka działa kaliber 75. Leger w Nowym Jorku rozmyślać będzie o „samotności tłumów". Po powrocie do Francji wstąpi do partii komunistycznej. Przyjedzie do Polski na I Kongres Pokoju. Chłopiec ze sklepu z zabawkami dojdzie do wniosku, że żadna sztuka nie zmieni świata — może tylko wyjść mu naprzeciw. Trudno oprzeć się ciekawości. Leger będzie podróżował do Związku Radzieckiego...

Leger starał się być męski, silny, nawet brutalny. Skoro w miastach zieleń potrzebna jest dla zdrowia mieszkańców — niech wożą drzewa po ulicach na platformach! Obraz sztalugowy? Ten zginie. Społeczeństwo potrzebować będzie kolorowej architektury. Na widok malarstwa abstrakcyjnego krzyknie: „Robespierre mógłby w to udrapować Boginę Rozumu"! Największą pretensję do renesansu ma o to, że dał jednostce tak wielkie przywileje. Nie jednostka a seria, nie człowiek, a tłum. Ale tłum uporządkowany w defiladę.

Geometria, precyzja, porządek.

Natura jest bałaganem, chaosem. Nowa natura, stworzona przez cywilizację ujęta jest w ścisłe rygory. Natura zaplanowana — natura jutra.

Leger to twórcze pogodzenie się z nieodwołalnym. Widział jak stare ustępuje przed nowym. — „licznik elektryczny na ścianie zabija kalendarz". Zdecydował się na wiarę w świat uporządkowany, w człowieka, który będzie wyglądał „jakby go zrodziła maszyna rolnicza". Ze zdumiewającą konsekwencją prowadził swoje dzieło. Czasem wydaje się, że nawet wbrew sobie. Mimo szermowania słowami: realizm, racjonalizm, społeczeństwo, prawa ekonomii — był idealistą patrzącym na świat przez prymat symboli, znaków umownych, poprzez pryzmat znaczeń i interpretacji. Mitologizował cywilizację. Wierzył w legendę Maszyny, w człowieka z ludu, silnego, zdrowego i nieskomplikowanego, kierującego się nieomylnym instynktem. Maszyna przedłużeniem człowieka — człowiek przedłużeniem maszyny. Wykluczał psychologię, sentyment, romantyzm. Konsekwentnie, z uporem optymisty. A może z rezygnacją? Może godził się z myślą, że pędzącej, kolorowej lokomotywy zatrzymać już nie można. I szukał miejsca dla siebie, dla sztuki. Z odwagą, z otwartą przyłbicą wychodzi na spotkanie nowemu.

W Pradze w 1955 roku, tuż przed śmiercią, oglądał spartakiadę. Napisał: „20.000 sportowców, 20.000 mężczyzn i kobiet w akcji.. potężna geometria, krzywe, prostokąty, koła, romby, kwadraty przeciwstawione sobie i rozwiązujące się w porządku kontrastowym, w nowym porządku. Plecy czerwone, torsy białe, nogi żółte... Ruch, falowanie, zmiana miejsc, koniec, początek, w porządku idealnym, obliczonym do dziesiątej sekundy". Kochanek maszyny uwiedziony magią liczb i serii. „Wyjść od ilości, od tłumu, żeby zapewnić wygodę jednostce" — tę myśl wytaczała jak działo przeciw renesansowi.

On, indywidualista, który w obrazach swoich zamknął słońce. W gruncie rzeczy zmysłowy kochanek urody życia, który tak bardzo chciał być obywatelem nowych czasów.

---

*) Na marginesie niekompletnej wystawy Fernanda Légera, dziejącej się w Galerii w Parku im. Sienkiewicza, skomponowanej ze zbiorów Muzeum Légera w Biot.

Autoportret rys. ok. 1930

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ F. BĄBOL Co za te miliardy?
★ Z. TARNOWSKA ...i jestem człowiekiem?
★ K. W. DĘBICKI Spojrzenie w głąb nocy
oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

Co to jest

CZY golizna to pornografia? A może jest nią dopiero jej reprodukcja w plastyce lub w druku? Czy wyobrażenie golasa jest pornografią, a golaski — nie? Jak wobec tego ustosunkować się do rzeźby antycznej? Jaki tekst jest pornograficzny, a jaki nie? Daremnie by szukać w naszej prasie choćby prób naświetlenia tych, tak aktualnych problemów". (Władysław Kopaliński, „Życie Warszawy" z dnia 11—12. 7. 71 r.).

*

„La pornographie, c'est l'erotisme des autres", „Pornografia — to erotyzm innych" (Alain Robbe-Grillet, francuski pisarz, przedstawiciel tzw. „nowej fali" znany u nas m. in. z powieści pt. „Gumy" i „Dom schadzek".

*

„Pornografia — teksty lub wizerunki o treści nieprzyzwoitej, sprzecznej z dobrymi obyczajami" (Encyklopedia popularna AZ, PWN, 1965).

*

MÓWI **Jean Moulin**, malarz francuski na rozprawie sądowej w Paryżu w marcu br., oskarżony o wystawianie obrazów pornograficznych: „Jako malarz uważam się za człowieka, który winien dać świadectwo swoim czasom. Otóż nikt nie może mi zaprzeczyć, że seksualizm odgrywa coraz większą rolę w cywilizacji. Sądzę, że jeśli nie można traktować takiego tematu wobec dorosłych, jest to zagrożeniem dla swobody ekspresji, krótko mówiąc, wolności.

Przewodnicząca sądu: Ależ to co panu zarzucamy to nie temat pańskich obrazów — to ich treść. Mówiąc prościej, zarzuca się panu pokazywanie publiczności dzieł pornograficznych.

Jean Moulin: Moje obrazy nie są pornograficzne. One są erotyczne.

Przewodnicząca: I jakaż to różnica?

Jean Moulin: Pornografia będzie wtedy gdy jedno z obojga partnerów przedstawione przez artystę wygląda na pozbawionego swej wolności osobistej i podporządkowane wyłącznie przyjemności drugiego, traktowane przez niego jako przedmiot. Przeciwnie — erotyzm to przyjemność wspólna. To miłość we dwoje, która realizuje się przy wolności i równości obojga partnerów.

Przewodnicząca (uśmiechając się): To nie jest jednak pogląd ani policji, ani palestry".

*

„Pornografia jest atakiem na seksualizm" (D. H. Lawrence, autor m. in. powieści pt. „Kochanek Lady Chaterley", uważanej przez długie lata, do niedawna, za pornograficzną).

*

Czy plakat olimpijski może być pornograficzny? „Tak" stwierdziła niedawno brazylijska cenzura zakazująca rozprowadzania jednego z olimpijskich plakatów, przygotowanego na Olimpiadę roku 1972 w Monachium. Autorem plakatu jest Anglik Alan Jones.

Cóż przedstawia ów plakat? Oto pod pięcioma olimpijskimi kołami widać dwie, jedna za drugą, biegnące pary nóg. Górne części ciała lekkoatletów nie są widoczne. Surowi cenzorzy pomyśleli sobie: „Nie damy się nabrać. Zobaczymy do kogo należą te gołe nogi. Jedna para nóg jest niewątpliwie męska. A druga? Ta druga para nóg na plakacie nie była zbyt wyraźna i mogła uchodzić za kobiecą. Cenzorzy dorysowali zatem oba tułowia — mężczyzny i kobiety. I zabronili rozpowszechniania plakatu jako pornograficznego.

W Hiszpanii ostatnio nie wolno pokazywać w TV damskiej bielizny. Żadnej takiej reklamy. To pornografia.

W Nowym Jorku firma o nazwie Spencer Production zorganizowała zawody seksualne. Zgłosiło się 47 par. Zawody mają być transmitowane przez TV do niektórych, ekskluzywnych klubów. Wygra para, która wykona akt seksualny nie tylko najdłużej, ale najładniej. Specjalna komisja będzie stawiała punkty. „Żadnego homoseksualizmu, żadnych środków podniecających, żadnego sadyzmu. Po prostu spółkowanie z prologiem i epilogiem" — zapewniają organizatorzy. Podobno niektóre pary ćwiczą zawzięcie przed występem. Jakby to były zawody sportowe.

*

W związku z projektem zmiany paragrafu 184 (rozpowszechnianie pism pornograficznych) K. K. w NRF, zebrała się na jesieni ub. r. specjalna komisja złożona z wybitnych ekspertów, aby określić co to jest pornografia. Komisja ta utopiła całe zagadnienie w nie kończącej się dyskusji na temat o jaką to właściwie pornografię chodzi? Homoseksualną, sadystyczną, masochistyczną, właściwą, niewłaściwą, masową, ekscesywną, demoralizującą, niedemoralizującą itd., itd.

*

W połowie XIX wieku, to słowo greckiego pochodzenia miało jednoznaczną treść. Pornografią był opis w literaturze życia i obyczajów prostytutek i ich klienteli.

*

W Japonii od wieków istniały tzw. książki pozycji. Były to najczęściej zwoje z serią obrazków barwnych wyko-

JAN BĄBIŃSKI

Pierwsze: nie nudzić!

Żyjemy w czasach zebrań, konferencji i nie kończących się posiedzeń. Jest to na pewno rodzaj cywilizacji zebraniowej. Im więcej ktoś ma odbytych zebrań na swym koncie, tym większe dlań brawa za społeczną postawę i ofiarność. Im więcej jakiś urząd organizuje konferencji, tym większym zadowoleniem pała twarz dyrektora, bo jak kto przyjdzie z dzielnicy, zjednoczenia lub zgoła z warszawskiej centrali, to mu się podsunie pod nos teczkę protokółów i powie niby od niechcenia: proszę, ile posiedzeń odbyliśmy w tej sprawie, proszę, jak dogłębnie i wszechstronnie u nas ten problem przewentylowano, przebadano, prześwietlono i przedyskutowano, mucha nie siada, proszę towarzysza. My o wszystkim w kolektywie, nie ma dnia, by u nas kolektyw nie radził na ważnej naradzie.

Reporter coś o tym wie.

Bo jak reporter dzwoni rano po biurach i urzędach, żeby umówić się na rozmowę, to słyszy przepojony smutkiem i współczuciem głosik młodziutkiej sekretarki:

— O jaka szkoda, ale pan dyrektor jest akurat na konferencji.

—A zastępca?

— Zastępca wyjechał na naradę do Warszawy, może pani jutro zadzwoni?

Jutro będą nowe konferencje, a pojutrze będą nowe narady. Dziwnym jakimś trafem zebrań nie ubywa, lecz przybywa. Termometr jest wciąż zebraniowy. Już tak się utarło, że temperaturę osobistego zaangażowania mierzy się na zebraniach. Konferencje są niepotrzebne? Zależy jakie, zależy kiedy, zależy w jakiej sprawie i zależy od tego, przez kogo są prowadzone.

Druk nie zastąpi żywego słowa. Gazeta, choćby co dzień obtańcowywana przez najznakomitszy z zespołów, nie nadaje się do czytania na mównicy. Druk bardziej przemawia do umysłu. Słowo bardziej przemawia do serca. Stąd ogromna rola, jaką od czasów najdawniejszych przypisywano mówcom.

Żywe słowo jest potrzebne. Zebranie może być czynnikiem o wielkim ładunku emocjonalnym.

Przekleństwem czasów, w których żyjemy, jest inwazja mówców manuskryptowych, zwanych potocznie kartkowiczami. Nie daj Boże, jak kartkowicz dorwie się do trybuny. Najczęściej dokładnie nawet nie wie, co ma na kartce, bo dane kazał przygotować personelowi. Więc kartkowicz co rusz to się w tekście gubi, coś ustawicznie koryguje, ale brnie dalej, ze ściągniętą brwią, ze zmarszczką na jowiszowym czole duka, robi przystanki, gdzie ich nie ma, gdy to pedant, potrafi przy końcu zdania powiedzieć — kropka.

Kartkowicz o jowiszowym obliczu, to odmiana dość pospolita. Każde zdanie na kartce jest przekonsultowane, przebadane i przyfryzowane do potrzeb chwili. Częstym też gatunkiem, grasującym po salach jest kartkowicz wnioskujący. Takiemu czasu zawsze za mało. Tyle ma przecież do powiedzenia. To nic, że obecni na sali pod wpływem rozpaczy, może instynktu samoobrony, głosują za ograniczeniem czasu przemówień do 15 minut. Ale nasz mówca jest dopiero w połowie kartek. Zadufany w sobie, wcale nie zauważa rozpaczliwych spojrzeń taksujących ilość leżących jeszcze na mównicy kartek. Prosi przewodniczącego, by mu udzielił

jeszcze 2 minut, bo ma ważne wnioski do złożenia. Z dwu minut robi się pół godziny. A wnioski są wciąż te same. Już od lat dwudziestu.

Sala już drzemie, marząc, żeby się już skończyło. Do trybuny dorwał się teraz bezkartkowicz gędziarski. Przyznać trzeba, że ma tylko podpunkty przed sobą. Całkiem nawet było nieźle na początku. Sala darzy mimowolną sympatią kogoś, kto ufa swojej głowie, a nie kartce, kto potrafi nie tylko czytać, ale jako tako również mówić. Tylko czemu ten bezkartkowicz nie kończy przemówienia w odpowiednim momencie? Czemu ciągnie w nieskończoność?

Dlaczego z tylu zebrań i konferencji wieje wielką nudą?

Wina przewodniczącego? Siedzi z kamienną twarzą, obok inni z prezydium o marsowych obliczach i ten nastrój udziela się sali? Możliwe. Toteż pierwszym warunkiem dobrego zebrania jest powierzenie roli przewodniczącego komuś o dużym poczuciu humoru. „Zwierzęca powaga" do naszych czasów nie pasuje. Jest anachronizmem. Nie pasuje też do charakteru Polaków.

Na sali siedzą ludzie przemęczeni, zaharowani, mający setkę codziennych trosk na głowie. Przewlekłe, napuszone, nudne wymądrzanie się na mównicy, owe moralizatorskie kazania wywodzące się z tradycyjnej kazalnicy, są nie na czasie. Tempo życia dziś inne. Rozwlekłość drażni i denerwuje. Być może dlatego wszystkie oficjalne nazwy nie przyjęły się w mowie potocznej. Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by powiedział, że idzie do przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi. Nazwa tak jest tasiemcowa, że niestrawna. W kołach działaczy mówi się „mer". W dołach powiada się „prezes". Nie bardzo te nazwy przylegają do funkcji przewodniczącego, ale co robić, naród szuka wyrażeń prostszych, mniej napuszonych, przede wszystkim — krótszych. Więc i mówca musi krótko. Już stary Goethe orzekł, że „in der Beschraenkung zeigt sich der Meister", w ograniczeniu się widać mistrza. Kto nie potrafi jasno i krótko, jest figurą nie z tego stulecia. Jest złodziejem czasu. Jest ponoć w Afryce takie plemię, które zezwala mówcy przemawiać na wiecach tak długo jedynie, jak długo mówca zdoła ustać na jednej nodze.

Wreszcie dowcip, wreszcie stara prawda, że nie ma dobrej mowy bez dobrego w niej żartu. Dwa nie zaszkodzą, jak będą w niej trzy, to jeszcze lepiej.

Kochanowski pisał:

„Komu dowcipu równo z wymową dostaje
niech szczepi między ludzi dobre obyczaje".

Warto, by to staropolskie zalecenie wzięli sobie do serca wszyscy na świeczniku. Muszą przemawiać, bo to ich zawód. Ale to również ryzyko z tym zawodem związane. Dziś nie wystarczy posiadać dobry życiorys, dobre pochodzenie i dobre wykształcenie. Trzeba jeszcze umieć przemawiać. Piszę o tym pod wrażeniem zaimprowizowanych przemówień, wygłoszonych w swoim czasie w Łodzi przez Jana Szydlaka, członka Biura Politycznego KC PZPR. Jednak można, jednak są działacze, którzy potrafią i wiedzą, że niczym tak łatwo nie dochodzi się do celu, jak dobrym przemówieniem. Dobrym, to jest podanym ze swadą i wewnętrznym żarem, który się udziela słuchaczom.

Cycero, jeden z najznakomitszych oratorów wszystkich czasów, tak pisał: „Czyż jest coś wspanialszego jak siłą wymowy zdzierżyć tłum ludzi na wodzy, przyciągać ku sobie umysły, naginać wolę i odwracać od złego?". I dalej: „Od roztropności i mądrości doskonałych mówców zawisło ocalenie nie tylko poszczególnych ludzi, ale i państwowych zbiorowości".

Cycero może przesadził, ale chyba nie bardzo, jeśli przypomnimy sobie wpływ przemówień Churchilla na umocnienie woli narodu angielskiego, aby wytrwać w walce z hitlerowską Rzeszą.

Jeden z najlepszych mówców politycznych Francji, Aristide Briand, upominał:

„Uważam, że nadmierne przygotowanie wystąpienia ogranicza swobodne myśli, bo najlepszych argumentów dostarcza atmosfera chwili, a nie praca z głową nad biurkiem. Przeważnie rozstrzygają te argumenty, które wyłaniają się podczas samej dyskusji. Mowa nie jest dziełem literackim. Jest czynem. Mowa jest po to, żeby jej z ciekawością wysłuchano. Forma ma znaczenie drugorzędne. Czasem ważniejsze i rozstrzygające jest jedno tylko zdanie, zrodzone z podniecenia słuchaczy, które udziela się mówcy, niż gramatycznie wyszlifowane szeregi długich zdań".

Dużo się dziś mówi o odnowie, a może by przy tej okazji odnowić i samo mówienie?

pornografia?

nanych techniką drzeworytniczą przedstawiające sceny miłosne. Ponadto na obrazkach tych dopisywano delikatnymi pociągnięciami pędzelka objaśnienia o tym jakie pozycje ciała w akcie seksualnym, jakie ruchy i jaki rytm obojga partnerów przynosi największe zadowolenie. Zwoje takie nazywano także „shunga" czyli „wiosenne obrazki".

Początkowy cel shunga był czysto medyczny. Pierwotnie więc shunga pokazywały jakie pozycje podczas stosunku seksualnego należy stosować, gdy partnerka jest w ciąży, jakich zaś należy bezwzględnie unikać ze względu na dobro płodu. Inne zwoje shunga, późniejsze, służyć miały partnerom nie doświadczonym jeszcze w grze miłosnej. Zadaniem więc w tym przypadku „wiosennych obrazków" było pouczanie początkujących kochanków o najkorzystniejszych pozycjach, dających największe zadowolenie seksualne. Shunga nazywano także „obrazkami do poduszki" przeznaczone one były bowiem dla par miłosnych i małżeństw, które kładły shunga obok poduszki, by korzystać z nich w przypadku nasuwania się takich czy innych wątpliwości związanych z techniką aktu seksualnego.

Shunga były nieraz dziełami najwybitniejszych artystów. Dziś kiedy podziwiamy np. trzydzieści sześć widoków góry Fudżi wykonanych przez artystę Hokusai, czy pełne finezji portrety kobiet artysty Utamaro, nie domyślamy się nawet, że zamówali się oni oprócz tego sporządzaniem „wiosennych obrazków". Sztuka ta kwitła zwłaszcza w okresie Edo (1603—1868) i wielu artystów poczytywało sobie za zaszczyt wykonywanie shunga.

W miarę upływu czasu, gdy pozycja mężczyzny w społeczeństwie japońskim coraz bardziej się umacniała i wprowadzono instytucję gejszy, początkowe założenie medyczno-pedagogiczne „wiosennych obrazków" straciło na znaczeniu. Teraz głównym celem shunga było wskazanie sposobów gry miłosnej dla osiągnięcia największej rozkoszy seksualnej mężczyzny. Zwoje obrazków zawierały sceny z wizyt u gejsz, gdzie jedna, dwie lub trzy pary spółkujących prezentowały miłosny kunszt, o technice nacechowanej delikatnością i łagodnością. Rzadko i to dopiero pod koniec okresu Edo sceny seksualne shunga przybierają formy brutalne i gwałtowne.

Kim byli mężczyźni na „wiosennych obrazkach"? Przeważnie — to majętni kupcy lub samurajowie, którzy w czasach długiego pokoju śmiertelnie się nudzili, czasem mnisi buddyjscy. Zaznaczmy przy tym, że dla buddystów kobieta była zawsze czymś co budzi niepokój. Buddyści obawiali się — zwłaszcza jeżeli byli mnichami — uwodzicielskiej sztuki słabszej płci. Dlatego też lubowali się w historyjkach o złych, podstępnych kobietach i owe opowiadania puszczali w obieg. Kobieta w tych historyjkach zawsze była istotą zepsutą, i pełną wad. W istocie przekonania buddystów o kobiecie nie wywarły nigdy głębszego wpływu na mentalność ogółu społeczeństwa, a ich założenia filozoficzno-religijne nie stały się nigdy doktryną państwową. W przeciwnym razie shunga nie mogłyby istnieć.

JEST sprawą niezmiernie charakterystyczną, że osoby przedstawiane w scenach erotycznych nigdy nie są całkowicie nagie. Nie ma to nic wspólnego z pojęciem pruderii. Nagość dla Japończyka nie jest wcale elementem seksualnym. Jest stanem nasuwającym na myśl raczej kąpiel niż doznania erotyczne. Nagość jest czymś powszednim i tak jak w średniowiecznej Europie mężczyźni odbywali wspólne kąpiele z kobietami, tak Japonki i Japończycy kąpali się razem. Całkowita nagość według japońskich pojęć nie jest ani szczególnie estetyczna, ani szczególnie erotyczna i nie zawsze piękna. Nagość jest dla nich przede wszystkim n u d n a. W rozumieniu Japończyków nagość może tylko w niklym stopniu stanowić seksualną podnietę. W Japonii nie istnieje pojęcie piękna kobiecego ciała. Mówi się owszem o pięknie postaci kobiecej, lecz ma się wtedy na myśli nie anatomię kobiety z łukami jej ciała, lecz kontrastową grę kobiecej sylwetki, o łagodnych płynnych konturach z nieco kanciastym zarysem fałd jej kimona. W całej literaturze pięknej i sztuce plastycznej Japonii spotykamy taką właśnie koncepcję kobiecego piękna. Strój, odzież są po to właśnie by ciała mężczyzn i kobiet możliwie najefektowniej zasłaniać i odsłaniać.

Dziś w Japonii nie mówi się już o shunga. Dziś Japończyk wstydzi się tego, że niegdyś najwięksi malarze jego kraju sporządzali nieprzyzwoite „wiosenne obrazki" i do tego jeszcze szczycili się tym. Dzisiaj w Japonii, pod wpływami europeizacji shunga — to pornografia.

WIĘC CO TO WŁAŚCIWIE TAKIEGO TA PORNOGRAFIA?

Spróbujmy ostrożniutko sformułować pewne wnioski. Czy istnieje pornografia? Oczywiście. Choć jej istota trudna jest do jednoznacznego określenia, bowiem pojęcie to zależy od wielu okoliczności, czasu, miejsca, obyczajów (jakże nieraz szybko zmieniających się i płynnych). Sądzę, że pornograficzne przedstawienie (w piśmie, w plastyce, na scenie) to takie, które plugawi nasze wyobrażenie, konkretnie wyobrażenie o miłości dwojga ludzi i ich wzajemnego stosunku opartego na poszanowaniu godności człowieka i jego prawa do estetyki i intymności głęboko ludzkich przeżyć.

Opr. JANUSZ SKOSZKIEWICZ

ANDRZEJ JÓŹWIAK

BALLADA O MR ADAMSIE

Mr. Dick Adams lekko przeciąga się, wyjmuje z bocznej kieszeni błękitnej marynarki z emblematami Harvardu kolorową chustkę do nosa i przeciera słoneczne okulary. Potem podaje mi nowojorskie pismo muzyczno-teatralne, którego szpalty pełne są wywiadów z autorami, reżyserami, kompozytorami, aktorami, producentami i innymi tuzami show-businessu. Sądząc z kilkudziesięciu stronic tego pisma cała Ameryka bierze udział w rautach, cocktailach i narodzinach show-businessu. Zresztą spis branżowy książki telefonicznej z Manhattanu (rok 1970) wymienia 156 „Ticket Services", biur miejsc przedsprzedaży biletów teatralnych, 39 firm, które aranżują tak zwane „Theater Parties" — wspólne wycieczki teatralne, 32 prywatne szkoły teatralne i studia piosenkarskie, kilkadziesiąt impresaryjnych agencji imprez.

Pracownikiem jednej z takich agencji jest Mr. Dick Adams, który już nieco wcześniej pokazał mi kilka prospektów reklamowych jego „agency", a teraz podetknął mi pod nos gazetę, w której ma się znajdować ON, Mr. Adams, w towarzystwie gwiazdy musicalu.

— Where is it?... — pytam.

— Tutaj — odpowiada Dick z wyższością — mów do mnie po polsku.

Mr. Dick Adams jeszcze rozumie po polsku, bowiem sześć lat temu nazywał się Rysiek Adamiak, chodził do łódzkiej wieczorówki i był szeroko znany w pewnych kołach zbliżonych do łódzkiej bohemy. Miał powodzenie u dziewcząt, o których popularna piosenka mówi: „gdy się budziłem rzeski rano i sny miewałem niekaralne, sprawiły to to miłe, kochane dziewczyny niemoralne". Ponieważ starsi wiekiem reprezentanci bohemy też chcieli się budzić rano rześcy, bardzo więc faworyzowali Adamiaka z uwagi na autorytet, jaki miał Rysio wśród ślicznych, acz niemoralnych dziewcząt. Rysio podryw miał szeroki, a że nie był sknerą, wszyscy go bardzo lubili.

Towarzysko legitymował się: „Jestem Adamiak, reżyser dźwięku (nikt nie wiedział, co to za profesja, ale przyznać trzeba, że brzmiało poważnie) i zaraz dodawał filuternie — 25 lat i jeszcze kawaler". Później wyjechał na zaproszenie ciotki do USA i tam pozostał.

Dziś centrala Mr. Adamsa mieści się na 54 Street w New Yorku, a biuro, w którym pracuje, znajduje się na bocznej uliczce między Broadwayem, a Eight Avenue.

Mr. Adams odebrał mi gazetę i zaczął się nią wachlować. Żar lał się z nieba, więc Rysio mówił leniwie:

— Ja teraz robię w musicalu. Typowym musicalu. Jeśli chodzi o operetkę — nie znoszę. Humor operetki posiada pewne cechy, których nie mogę przyjąć. Jedna z nich, to głupota postaci komicznych. Rozumiesz, patologia.

Odwrócił się do mnie bokiem i podał nonszalancko, prawie przez ramię, gazetę. — Mój najlepszy przyjaciel — kontynuował dalej — to Harold Burnett. Pochodzi z Hardford w Connecticut. Studiował prawo i grał na fortepianie w zespole jazzowym Yale University. To mój najbliższy friend. Jego girl jest tancerką w rewii Shubert Brothers. Życie prywatne, jak widzisz, układa się good. Skłócony natomiast jestem z Jerry Hermanem, to ten od „Hello, Dolly", bardzo antypatyczny facet. Harold mówi: musical to jest życie, śmiech i płacz, zaduma i rozrywka... Harold dobrze mówi.

Dick strzepnął niewidoczne pyłki z klap marynarki (z emblematem Harvardu na bocznej kieszonce) i zaczął nucić „She's My Love".

—O tę piosenkę znam! — ucieszyłem się — w „Polonii" wyświetlano film, bodajże „Lili" z Leslie Caron i Gene Kelly.

Nagle odwrócił się już zupełnie plecami do mnie:

— Oddaj mi, cholera, tę gazetę, bo to souvenir. Jestem tam na zdjęciu razem z tą biedaczką Lizą Minelli.

Olśniony, przerzucam błyskawicznie egzemplarz „Variete". Zdjęcia, reklamy, informacje, że dochody z kin szerokoekranowych wzrosły o 20—90 procent po ukazaniu się „My Fair Lady". Na 25 stronie fachowcy oceniają sumę, którą „My Fair Lady" przyniosła scenom teatralnym świata na więcej, aniżeli 60 milionów dolarów. W tym też jest zapewne — myślę nieskromnie — cząstka z Teatru Powszechnego.

— Oddaj! — szarpie mnie Rysio. — To pamiątka!

Nie oddaję. 38 strona „Variete" informuje, że w 1970 roku było tylko osiem musicali udanych, które przyniosły zwrot kosztów produkcji i znaczne zyski. Wobec sumy 13,3 milionów dolarów nakładów, 7,18 milionów wpływu? To mniej aniżeli 47 procent. A może mylę się w tych procentach. Włosy mi się jeżą na głowie, jak pomyślę, w jakich warunkach musi Rysio pracować. Nerwowa robota. Jest!!! Na 42 stronie pisma widzę piękną Lizę Minelli, córkę Judy Garland, w otoczeniu kilkunastoosobowej grupy pań i panów, którym pieniądze patrzą z oczu. Liza w białym futerku, szeroko uśmiechnięta, a nad nią neon Teatru „Actors Playhouse". Ale Mr. Adamsa nie widzę.

— Where... to jest — poprawiam się — gdzie ty jesteś?

— No... — Adams jest lekko zażenowany. Może już zaczyna żałować, że pokazał mi to pismo. — tutaj... na drabinie.

I rzeczywiście. Z lewej strony fotografii, za grupą pań i panów i za Lizą Minelli w białym futrze, córką Judy Garland, stoi oparta o fronton gmachu drabina. A na drabinie, w roboczym kombinezonie i z kubełkiem w ręku — ON — Mr. Dick Adams. Zrobiło mi się trochę niewyraźnie, bo inna miała być ballada pt. „Adams Story", a ta drabina i kubełek psuły mi harmonię.

— Plastykowy? — pytam rzeczowo.

— Kto?

— Nie kto, ale co! Ten kubełek...

Mr. Adams otarł z czaszki grube krople potu — faktycznie gorąco było, jak to w czerwcu — i niepewnie zaszarżował:

— No wiesz, stary, to jest początek mojej kariery. Rozumiesz? Ja dopiero startuję. Tak to w życiu jest... zaczyna się od samego dołu. Robi się wszystko. Przecież Rockefeller też nie od razu był milionerem. Sprzątał, czyścił, wynosił, zamiatał. A teraz? To normalne, prawda? Ja tam nie miałem żadnego Polańskiego, który by mnie pchał do przodu. Może to i lepiej, sam musiałem robić, bo ciotka okazała się skąpcem. Wybiję się, zobaczysz! Wszystko zaczyna się od dołu, a potem stopniowo po szczeblach drabiny pnie się człowiek do góry...

Spoglądam jeszcze raz na zdjęcie. Mr. Dick Adams stoi na trzecim szczeblu drabiny. Ma chłopak fart.

Fot. L. Janczak

TV OBIEKTYW

ZAGADKA WODNA

Film telewizyjny „Hydrozagadka" reżyserii Andrzeja Kondratiuka (operator: Zygmunt Samosiuk) był już przed paru tygodniami pokazywany w programie, ale nie złożyło mi się wtedy go oglądać. Z różnych stron dochodziły mnie natomiast głosy oburzenia. Co to właściwie ma znaczyć? Jak można coś takiego pokazywać w telewizji? itd. itd.

Nic dziwnego więc, że z zainteresowaniem zasiadłem 30 lipca przed telewizorem, by obejrzeć ten tak burzliwie potępiany przez mych znajomych film. Z zainteresowaniem, gdyż lubię programy budzące żywy oddźwięk u telewidzów pozytywny lub negatywny, byle nie nijaki.

Szokująca jest dla części publiczności już czołówka „Hydrozagadki". Zamiast zwykłych napisów oglądamy Igę Cembrzyńską, która w sposób zabawny (miejscami nawet błazeński) wypowiada nazwiska realizatorów i wykonawców. Normalna lista nazwisk nabiera jakby jakichś podtekstów, aktorka zawiesza głos, robi miny, jakby przekazywała nam informacje bardzo intymne.

W gruncie rzeczy można się jednak było przy tym ubawić. A w każdym razie nikt nie może mieć pretensji do reżysera, że nie uprzedził na wstępie, iż rzecz będzie raczej filuterna. Jeżeli mimo to ktoś śledził serio perypetie bohaterów filmu, to oczywiście łatwo popaść mógł w irytację.

Ale rzecz w tym, że filmu Kondratiuka nie wolno oglądać serio. Zrealizowano go bowiem z tzw. dystansem, persyflażując pewien rozpowszechniony w świecie zachodnim typ filmu przygodowo-sensacyjnego. Szczególnie chodzi tu o filmy z pogranicza fikcji naukowej i sensacji ze szlachetnym i niezwyciężonym bohaterem Jamesem Bondem. Bond ratuje gwałcone dziewice, zwalcza wszelkie złe moce, w tym także krwiożerczych agentów komunistycznych, zjawia się w swym opiętym trykocie i pelerynce na kształt skrzydeł wszędzie tam, gdzie go potrzebują.

Filmy z Bondem nie ukazują się na naszych ekranach, gdyż ich natrętny pseudowychowawczy charakter i szmirowaty poziom nie zachęca polskich dystrybutorów do zakupu. Ktoś mógłby zatem zarzucić filmowi Kondratiuka, że wyśmiewa coś, czego nie znamy. Istotnie, nie znamy. Ale czy to uniemożliwia dobrą zabawę, jaką nam Kondratiuk proponuje?

Odniosłem również wrażenie, że „Hydrozagadka" nie ogranicza się w kpinie do filmów z Bondem. Z mdłym moralizatorstwem spotykamy się w różnych okolicznościach w życiu. Czy na przykład scena, w której karzełek (Bolcio Kamiński) i marynarz (Józef Pieczka) kierowani wstydem postanawiają poddać się reedukacji i skłaniają do tego bandę zbirów maharadży z Kabulu, nie służy kompromitowaniu utopijnej wiary, że z człowiekiem wszystko da się zrobić?

Tanie wzruszenia i prymitywne podziały ludzi na białe i czarne charaktery (przypomnijmy sobie choćby sataniczny śmiech Romana Kłosowskiego jako maharadży i Zdzisława Maklakiewicza jako doktora Plamy) służą Kondratiukowi w jego walce przeciwko schematom, którymi operuje się i w szkole, i na zebraniu w zakładzie pracy, i w literaturze, i na ekranie filmowym.

Ale jeżeli nawet odrzucić społeczny walor drwiny zademonstrowanej nam w „Hydrozagadce", to i tak nie zabraknie w filmie prawdziwych walorów ekranowych. Jest on zrobiony inteligentnie, nasycony wielką ilością pomysłów, dowcipów, gagów. Jak znakomity jest przy tym Józef Nowak w swoim wcieleniu się w postać Asa stylizowaną na Bonda! Nie mniej zabawni Kłosowski i Maklakiewicz.

Trudno, ale wbrew opinii mych znajomych, mnie się film podobał. Zgadzam się, że racić on będzie zaprzysięgłych zwolenników tradycyjnej narracji oraz wszystkich, u których poczucie humoru nie jest najsilniejszą stroną. Nikogo nie chcę więc przekonywać do „Hydrozagadki".

Dobrze jednak, jeżeli na ekranach telewizorów ukazywać się będą i takie próby łamania konwencji i przyzwyczajeń widza. Propozycja humoru serwowana przez Andrzeja Kondratiuka znajdzie z pewnością zwolenników.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

NIEMAL równocześnie wchodzą na nasze ekrany dwa filmy amerykańskie, „Niewolnicy" i „Miraż", gorąco zaangażowane społecznie, choć różne rangą artystyczną. Twórca pierwszego filmu, Herbert Biberman i twórca drugiego, Edward Dmytryk, przechodzili podobne koleje losu. Nie wiem, czy dzielili jedną celę więzienną, lecz obaj spędzili w więzieniu rok (1949—1950), skazani na tę karę przez osławioną Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej, która właśnie wówczas z inspiracji senatora McCarthy'ego zaczęła działać w Hollywood. Więzienie bynajmniej nie zmieniło poglądów artystów, czego dowodem są dwa omawiane dzisiaj filmy z roku 1969 i 1965.

„NIEWOLNICY" nie są naturalnie pierwszym filmem Bibermana zrealizowanym po wyjściu z więzienia. Już w roku 1954 przemówił „Solą ziemi", filmem, który mógł zrobić dzięki pomocy finansowej postępowego związku zawodowego amerykańskich górników i hutników, ale który — z jednym wyjątkiem — nigdy nie ukazał się na ekranach amerykańskich. Do dziś Biberman procesuje się z właścicielami kin i dystrybutorami o niedopuszczenie filmu na ojczyste ekrany.

Wróćmy jednak do „Niewolników", dzieła 70-letniego artysty, który zrujnowany milczał przez lat blisko 16 i pracował w budownictwie. Że dzisiaj „Niewolników" wolno wyświetlać w Stanach i że obraz otrzymał pozwolenie na wyświetlanie za granicą (są bowiem filmy, które Amerykanie pokazują tylko u siebie w myśl zasady „własne brudy pierzmy we własnym domu") — to zdaje się świadczyć o pewnej, zmierzającej w dobrym kierunku, ewolucji w tym kraju.

Film Bibermana jest jakby smutnym i powiedziałabym więcej — pełnym bólu spojrzeniem na dziejące się tam sprawy. Jest dziełem podwójnie przeźroczystym: jego akcja toczy się w roku 1850, lecz przeświituje przez nią, po pierwsze — nasza europejska przeszłość hitlerowskich czasów pogardy, po drugie — aktualność amerykańska. Wydaje mi się, że mało jest filmów tak silnie zrośniętych z realnym kontekstem społecznym i niepokojami epoki. W oderwaniu od tego kontekstu nie sposób go oceniać i nie w czym innym leży artystyczna doniosłość dzieła.

Historia jest prosta i prosto opowiedziana. Mówi o tym, jak szlachetny pan, choć tego nie chciał, odstąpił za długi handlarzowi swego niewolnika Luke'a, a ten z kolei wystawił go na targu i odsprzedał nowemu panu. Zaś nowy pan to przybysz z Północy: szczegół biograficzny podważający dotychczasową tradycję amerykańską, mitologię, według której Północ uchodziła za jednomyślnie przeciwną niewolnictwu, a całą winą za okrucieństwo i niemoralność niewoli obarczane było Południe. Nowy pan reprezentuje pogląd, iż „jeśli nie chce się być na dnie, trzeba rządzić innymi".

Napisałam, że historia Luke'a opowiedziana jest prosto. Znaczy to, że stary Biberman opowiada ją po staroświecku i daje nam na świeżo dostrzec uroki staroświeckiego montażu. Jakże wymowny przez skrótowe skojarzenie jest początek filmu, gdzie obrazy skutych nóg niewolników ukazują się na przemian z obrazami końskiego zaprzęgu. Inny majstersztyk montażowy zobaczycie w scenie połogu murzyńskiej matki, któremu towarzyszy samotny, biegnący ku pustemu niebu, śpiew drugiej.

We wstrząsającej roli bohatera filmu — Luke'a — wystąpił znakomity aktor i pisarz murzyński, Ossie Davis, znany u nas z „Łowców skalpów".

*

„MIRAŻ" Dmytryka nie jest aktualnością przebraną w kostium historyczny. Toczy się współcześnie, nawiązuje do współczesności najbardziej bezpośrednio, a przecież brak mu realnych odniesień równie autentycznych i przekonywających jak te, które odczytaliśmy w „Niewolnikach". Ma szlachetną intencję antywojenną, lecz brzmi ona jak drętwa dydaktyka w ramach historyjki, w której kliniczny przypadek amnezji miesza się z sensacyjną pogonią i ucieczką, tajemniczością, suspensem, dziwnymi postaciami i czym jeszcze chcecie. Może wskutek obsadzenia w głównej roli tego samego aktora, Gregory Pecka, „Miraż" przypomina „Ostatni brzeg" Stanley'a Kramera; też wybrukowany dobrymi chęciami, lecz także taki, który można między bajki włożyć (w „Ostatnim brzegu" prześladuje nas wizja zagłady atomowej, tu — łudzi miraż wynalazku neutralizującego promieniowanie).

Oby tak nie było (zagłada) i oby tak było (wynalazek). Budzi wzruszenie ta troska kina o to, aby trzymać rękę na pulsie wydarzeń i dotykać spraw poważnych, a jednocześnie zaspokaja potrzebę rozrywki i dreszczu grozy. Kontredans przypominania i zapominania, zbliżania się i odchodzenia od rzeczywistości istnieje w kinie od początku i stanowi węzeł gordyjski, który tylko niewielu udaje się przeciąć. W niniejszym felietonie należy do nich Biberman, ale już nie Dmytryk.

JOLANTA MACH

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

OBŁĄKANY CZY GENIUSZ?

„Panowie, czy to obłąkany czy geniusz?" — spytał w styczniu 1878 roku dyrektor Szkoły Architektury w Barcelonie członków rady, która przyznać miała absolwentowi uczelni dyplom architekta. Tym młodym człowiekiem był Antonio Gaudi. Dyplom został mu przyznany. I dobrze to świadczy o owej radzie, ale pytanie rzucone przez dyrektora do dziś pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi. Obłąkany czy geniusz? Bowiem budynki jakie wzniósł ten dziwny

Budowla wzniesiona przez Gaudiego u wejścia do parku Guella (1884—1889)

Katalończyk, do dziś zdumiewają nieokiełznaną wizją architektoniczną, wizją śmiało realizowaną w kamieniu, żelazie, ceramice, w mozaikach przedstawiających kwiaty i ludzi, dziwaczne stwory, drzewa i zwierzęta — niesamowity świat fantastycznych, jakby zapożyczonych z baśniowych pałaców Wschodu, ornamentów, łuków, sklepień, wygiętych kolumn, zaskakujących oryginalnością ozdób.

Prekursor surrealistycznego świata Salvadora Dali i równocześnie funkcjonalizmu Le Corbusiera, Gaudi łączył genialnie swe wizje z prawami ciążenia. Nim przystąpił do pracy i wznoszenia swych domów i pałaców, sporządzał starannie modele i makiety. By przekonać się czy nie runie wznoszone przez niego sklepienie, wypróbowywał je na makiecie obciążając woreczkami z piaskiem. Mniej przywiązywał wagi do rysunków. Szkice jego projektów są niezdarne. Ufał swym rękom jak rzemieślnik, nie jak artysta. Pochodził z Reus koło Tarragony, gdzie bujnie kwitło rzemiosło. Jego ojciec był kotlarzem. Mały Antonio przez długie godziny podziwiał swego ojca, który z miedzianej blachy umiał wykonywać tak piękne, błyszczące przedmioty.

Antonio Gaudi, który urodził się w 1852 roku, zdobywa dyplom architekta w wieku lat dwudziestu sześciu. I wtedy to otrzymuje pierwsze poważniejsze zamówienia architektoniczne. A był to czas kiedy Barcelona bogaciła się gwałtownie na przemyśle włókienniczym. Młoda burżuazja pragnie budować sobie wspaniałe pałace. I to jest wielka szansa dla Gaudiego. Powierzają mu wznoszenie budowli. Że dziwaczne i fantastyczne? Tym lepiej. Bogaci mieszkańcy Barcelony gotowi są popierać styl Gaudiego, nie krępują go. I Gaudi staje się jednym z niewielu, może nawet jedynym architektem, który swe śmiałe wizje może zamienić w rzeczywistość z kamienia, cegły, szkła. Powstają pałace wznoszone przez młodego architekta jak dom Battla, jak pałac Mily, czy pałac Güella, gdzie bogactwo ornamentyki, jakby zapożyczone z baśniowych budowli wschodnich, idzie w parze ze śmiałością architektonicznych rozwiązań, z wprowadzaniem np. do wszystkich zakątków domu możliwie największej ilości światła. Po wybudowaniu pałacu Güella, Gaudi komponuje dla niego park. I okazuje się równie genialnym urbanistą operującym po mistrzowsku elementami budowli i rzeźb w przestrzeni.

W roku 1910 zaczyna budowę kościoła Santa Coloma. Ten dziwny Katalończyk, który według starych praw swego kraju, mając już 50 lat nadal oddaje wszystkie swe honoraria ojcu, budując teraz kościół żąda jako zapłaty tyle tylko ile starcza mu na nędzne życie. Bowiem ten kościół ma być równocześnie symbolem wielkości i odrodzenia Katalonii, ideą. Nad projektem Gaudi pracuje przez szesnaście lat. Ma to być jego największe i najpełniejsze dzieło, ucieleśnienie wspaniałej wizji. Ma być lekki w konstrukcji choć równocześnie o śmiałych rozwiązaniach. Niestety udało mu się ukończyć jedynie kaplicę.

Potrącony przez tramwaj zostaje zabrany do szpitala dla biedaków. Nie wiedziano początkowo kim jest ten nędznie odziany mężczyzna. Nie znaleziono przy nim ani jednej monety, jedynie papier na którym widniał projekt budowanego kościoła. W trzy dni po wypadku Gaudi umiera. Był to rok 1926.

Obecnie paryskie Muzeum Sztuki Dekoracyjnej, w cyklu „Pionierzy XX wieku" urządziło wielką wystawę dokumentów i fotografii związanych z działalnością architektoniczną Gaudiego, człowieka, który swe wizje umiał łączyć z prawami fizyki, z właściwościami kamienia, metalu, szkła czy gliny.

W CISZY I BEZ ROZGŁOSU

Przypuszczenia, że śmierć największego muzyka jazzowego, Armstronga uczczona zostanie natychmiast szeregiem koncertów muzycznych, przede wszystkim w Nowym Orleanie, okazały się błędne.

Louis Armstrong, w pięć dni po śmierci został pochowany dosłownie wśród kompletnej ciszy na cmentarzu Flushing w Nowym Jorku w dzielnicy murzyńskiej Queens, gdzie od 29 lat mieszkał w niepozornym jednorodzinnym domku między równie niepozornymi domami.

Trumna ze zwłokami „króla jazzu" wystawiona była przez jeden dzień. Dwadzieścia tysięcy ludzi, białych i czarnych przyszło by w milczeniu oddać ostatni hołd wielkiemu muzykowi.

W małym kościółku Corona Congregational Church w dzielnicy gdzie mieszkał Armstrong uczciło go pięćset osób zaproszonych przez wdowę, w tym kilku kolegów zmarłego, muzyków jazzowych. Potem trumnę dość szybko przeniesiono na odległy cmentarz i pochowano w milczeniu. Nieprzyjemnym akcentem był fakt, że około dwieście osób, głównie białych, w niepohamowanej żądzy kolekcjonowania pamiątek, rzuciło się na ozdoby grobu i splądrowało kwiaty.

Muzyka na cześć Armstronga odezwała się w Nowym Orleanie dopiero w kilka dni po pogrzebie. Żona Armstronga, Lucilla zadbała o to, by wypełnić życzenie swego zmarłego męża. Pragnął on by w ciszy i bez rozgłosu odchodzić z tego świata.

Nadmieńmy, że pisma tygodniowe niemal całego świata wciąż zamieszczają artykuły i wspomnienia o wielkim muzyku, reprodukują jego zdjęcia.

FOTOGRAFICZNE OPOWIASTKI

Szerzy się to we Włoszech jak zaraza, „Fumetto", „Fotoromanzo" — fotograficzne powieści, komiksy, tyle, że nie rysowane, a będące serią fotografii. Napisy objaśniają treść każdej sceny. Takie fotograficzne opowiastki rozchodzą się co tydzień w milionowych nakładach. Jedna trzecia społeczeństwa włoskiego karmi się tą szmirą. Dla wielu są to jedyne książki jakie czytają. Zjawisko groźne, bowiem „Fumetto" przedstawiające łzawe historyjki lub miłosne perypetie nie mają żadnej wartości artystycznej. Gorzej, — są wyrazem złego smaku i zafałszowania rzeczywistości. Choć sceneria w nich jest dwudziestowieczna opowiastki fotograficzne przedstawiają życie tak jakby reprodukowały obraz świata według mentalności dziewiętnastowiecznego mieszczucha. Nie ma tu miejsca na walkę klas, ani partie polityczne czy związki zawodowe, nie ma tu proletariatu ani warstw uprzywilejowanych, są „biedni" i są „bogaci" zawieszeni w próżni, ahistoryczni. Małżeństwa możliwe są tylko między równymi sobie majątkowo. Robotnica tekstylna i przemysłowiec nie mogą się pobrać. Biedna, piękna robotnica może w tych historyjkach odegrać życiową rolę, jeśli jakimś cudem osiągnie zawód o wysokim prestiżu społecznym lub, jeszcze lepiej, odziedziczy niespodziewanie majątek lub usłyszy od swej matki wyznanie: „Moje dziecko, muszę ci się przyznać: Jesteś córką hrabiego". Małżeństwa? Oczywiście tylko legalne. Pary żyjące bez ślubu poznają rychło swój błąd i, najczęściej za radą duchownego, albo legalizują swój związek, albo się rozchodzą. Niepoprawni kochankowie giną zwykle za karę gwałtowną śmiercią w wypadkach samochodowych lub spadają ze schodów.

Sceny z „Fotoromanzo"

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

FELIETON Z DYKTANDEM

RETORYKA DZIENNIKARSKA — OBERWAŁEM DWÓJĘ — RAZEM CZY ODDZIELNIE? — PERFIDNY TEKST — ZAMIESZANIE WŚRÓD DZIENNIKARZY — ISKRA BOŻA CZY INSTRUMENT? — HERETYK JESTEM.

Nakładem Ośrodka Badań Prasoznawczych ukazała się książka Walerego Pisarka pt. „Retoryka dziennikarska". Jest to, oczywiście, publikacja dość specjalistyczna, adresowana głównie do dziennikarzy, ale chcę o niej pisać, bo zawiera ona mnogość interesujących spraw i ciekawostek nawet. Nie piszę więc recenzji, tylko prezentuję problem, a może tylko piszę bryk anegdotyczny, felietonowy na marginesie poważnej pracy naukowej.

A praca to poważna, bowiem „Retoryka dziennikarska" jest właściwie pierwszym w historii polskiej prasy podręcznikiem pisania do gazety. Dziwne to, ale Amerykanie takich podręczników mają ponad setkę, a pierwszy ukazał się w 1901 roku, podręczniki takie mają Rosjanie, Anglicy, Niemcy, Francuzi, a ostatnio i Czesi. A u nas? Polska tradycją — rzecze Pisarek — traktowała pisarstwo jako mistyczne posłannictwo, jakże więc wieszczów godzi się pouczać, jak pisać mają!

A pisać po polsku nie jest łatwo. Pani Maria Nalepińska, autorka książki „Jak pisać należy", od czasu do czasu przysyła mi wycięty z gazety mój felieton, upstrzony czerwonym atramentem i opatrzony stopniem. Ze wstydem wyznaję, że nigdy nie dostałem piątki. Ostatnio oberwałem dwóję za użycie słowa „metka" zamiast „etykietka" oraz za zwrot „póki co" — zamiast „na razie", „jak dotąd".

Walery Pisarek w swojej książce przytoczył perfidny tekst dyktanda, którego nikt, ale to nikt nie napisze poprawnie: „Dyktowałem te trzy zdania kilku tysiącom osób — pisze autor — i do tej chwili nie znalazłem człowieka, który by nie zrobił w nich ani jednego błędu. To dyktando uczy skromności wobec ortografii...".

Ponieważ książka Pisarka ma niewielki nakład i ograniczony zasięg, ku nauce i zabawie, dla radości nauczycieli i ku utrapieniu uczniów przytoczę ten tekst w całości:

„Na pewno nie było natenczas w Polsce, a może i za granicą sportowca, który by skakał zarówno w dal, jak i wzwyż, toteż raz w raz zewsząd dochodziły zrazu pojedyńcze, potem coraz bardziej masowe okrzyki świadczące o entuzjaźmie. Spomiędzy ludzi wyszedł pomału człowieczek nie ogolony, nieokrzesany, a przy tym nie większy od dziesięcioletniego chłopca i zawołał po prostu: Uspokójże się i chodź no tutaj! Przy takiej zawiei nie sposób zresztą na co dzień znaleźć miejsca, gdzie by można po trochu odpocząć".

Uff... Tekst jest w istocie perfidny, a to dlatego, że grupuje dużą ilość „haczyków" razem — oddzielnie, sprawiających w języku polskim najbardziej powszechne zamieszanie.

Teoretycznie rzecz biorąc również spore zamieszanie powinna wywołać wśród dziennikarzy książka Pisarka. Po jej przeczytaniu drży w dłoni długopis i oglądam się, czy za mną nie stoi autor z czerwonym ołówkiem w ręce. Nie jest łatwo pisać ze świadomością tej lawiny „byków" popełnianych przeze mnie i moich kolegów.

I kto wie, czy w tym nie tkwi największy walor „Retoryki dziennikarskiej"? Książka ta — jeśli nawet nie sprawi, że będziemy pisać poprawniej — uczy pokory wobec tworzywa, jakim jest język, słowo... Uświadamia rzeczowo, dokumentuje na przykładach złożoność mechanizmów języka. Każe się zastanowić nad machiną gramatyki, zatrzymać przed labiryntem słownictwa. „Iskrę bożą" każe nam zamienić na precyzyjny instrument.

Oczywiście Walery Pisarek ma w swej książce rację od początku do końca. Nie mogę sobie nawet pozwolić na złośliwość, że jest to racja teoretyka, ponieważ Pisarek także praktycznie dał przykład pięknego, jasnego pisania.

A jednak nie wierzę w renesansową moc tej książki. Nawet nie dlatego, że przyszła o pół wieku za późno. Na pytanie dlaczego nie wierzę, odpowiedział sam autor na stronie 244 pisząc: „Język jest zawsze taki, jakim jest społeczeństwo, które go używa". Otóż to właśnie! Nie prasa stworzyła określony model języka, style, nawyki... To określone warunki społeczne, ruchy migracyjne ludności, nowe obyczaje i nowe snobizmy, różne etapy frazeologii uformowały nowy model języka. Może niezbyt poprawny, ale żywy. Może niezbyt piękny, ale powszechny. Powie ktoś, że głoszę herezję. No, cóż — w takim razie heretyk jestem. Przyznaję się bez bicia.

JERZY WIDOK

Bez strachu

JAK ZOSTAĆ DOSTOJEWSKIM?

Sprawę zostania Dostojewskim mam dawno na tapecie, być może jest zupełnie realna. Co nas różni? Dostojewski nosił brodę, a ja nie — drobiazg, mogę przecie brodę zapuścić i będzie nas dwóch brodaczy. Dostojewski przez całe życie był człowiekiem trudnym, nieznośnym, był jednym z najbardziej chorych ludzi epoki — te ostatnie cechy mam w stopniu zupełnie identycznym... Dostojewskiego niszczą i zarazem ocalają kobiety — podobnie jak mnie. Dostojewski miał bezustanne kłopoty z wydawcami — ja także. Jednak dzieli nas sprawa zasadnicza: Dostojewski był genialnym pisarzem, dał w swej twórczości model człowieka, który nie znany autorowi, nie znany samemu sobie miota się pozornie w drobiazgach, a w istocie uderza o Nieskończoność (wiele jest nieskończoności). Drobna, konwencjonalna sprzeczka przyzywa Boga i Szatana, przyzywa istnienie, bądź nieistnienie tych postaci, maleńki, towarzyski skandalik to próba uderzenia w sprawy ostateczne. Moje sprzeczki i skandaliki w nikogo nie uderzają, nie służą kwestii Poznawania — to zwyczajne, drobne kaprysy, przejawy złego samopoczucia. Myślę, że nie będę Dostojewskim. A jednak ustaliłem pewną cechę wspólną z tym geniuszem — wypijał ogromne ilości herbaty, wszyscy jego bohaterowie wypijali herbatę. Herbata przed ślubem, herbata przed zbrodnią. Całonocne picie — upojenie połączone z szukaniem drogi do Boga przez samobójstwo, śmierć z łykiem herbaty w gardle. Otóż ja także wypijam dużo herbaty, kiedyś piłem z pragnienia, teraz ze smaku — herbata jest dobra na to i owo, odmładza, wzmacnia, niestety, nawet najmocniejsza nie czyni pijącego Dostojewskim. A tu Dostojewski otacza nas ze wszystkich stron: filmy i przedstawienia według Dostojewskiego, świadome lub nieświadome mówienie według Dostojewskiego, przeżywania na modłę Dostojewskiego. Jesteśmy zatem osaczeni Dostojewskim i sznur zaciska się na naszych gardłach. Jeszcze kilka lat, a zostaniemy zniszczeni przez Dostojewskiego, bowiem Dostojewskiego brak w nas. Potrzebny nam Dostojewski obecny w naszym życiu wewnętrznym, Dostojewski immanentny. Niejeden bywa Sienkiewiczem, nawet jeśli brak mu w domu Tryloglii, inny ukradkiem jest Zolą lub Durrenmattem. A kto jest Dostojewskim? Zgoda, że wielu, jak się wydaje, wypadło z kart Dostojewskiego — to ludzie Dostojewskiego, ale nie On. Mam wniosek końcowy: ponieważ dobrze być Dostojewskim — Jego piekło jest większe od niejednego nieba, zatem postąpić należy tak — poznać najbardziej wyrazistych bohaterów Dostojewskiego i być najbardziej różnym od nich, każdy krok od nich jest krokiem do Dostojewskiego.

BERNARD SZTAJNERT

CHARLES BEAUMONT

SAMOBÓJCY

Pokój był przytulny, umeblowany z gustem. Koncertowy fortepian, mahoniowy bar z wyborowymi napojami. Trudno było uwierzyć, że przed godziną ktoś popełnił tu samobójstwo.

— Posłużył się rewolwerem kalibru 45 — zauważył porucznik Bracker.

— Istotnie, to potężna broń — stwierdził detektyw. Zbliżył się do okna i obserwował stojący przed garażem samochód.

— Nowy Ferrari — rzekł Bracker. — Kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów. Lawrence miał garaż pełen wozów sportowych.

Wtem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła piękna kobieta. W jej oczach widać było przerażenie i smutek.

— Przepraszam, że kazałam panu czekać — rzekła Mary Lawrence.

— Nie zatrzymamy pani długo. Przedstawiam detektywa Phillipsa Ives, pracuje w Sekcji Zabójstw w San Francisco. Chciałby zadać pani kilka pytań.

Kobieta przygotowała trzy kieliszki whisky. — Więc pan myśli, że Oskar został zabity?

— Nie — odpowiedział Ives. — Stwierdzono, że pani mąż popełnił samobójstwo. Lecz nie znamy jeszcze motywu.

— Motyw? — zaniepokoiła się kobieta. — Oskar był człowiekiem szczęśliwym, pochłoniętym swoją pasją: wozami sportowymi. Nie widziałam szczęśliwszej osoby.

Ives postawił kieliszek. — Czy pani nie zauważyła, że mąż zachowywał się dziwnie przed wypadkiem?

— Nie.

— Czy pani jest pewna?

Kobieta zamyśliła się. — W zeszłym tygodniu... nie wiem.., był raczej w złym humorze.

— Czy był przygnębiony, milczący?

— Tak.

— Dziękuję pani. — Ives wziął kapelusz i wyszedł wraz z porucznikiem Brackerem. — Nie jestem zadowolony z rezultatów moich badań — narzekał. — Rozmawiałem już z panią Addison, Vaile i innymi. Wszystkie zeznały to samo. Ich mężowie nie mieli żadnych powodów, żeby popełnić samobójstwo. Jednak każdy z nich w ciągu ostatniego tygodnia przed śmiercią był w złym humorze, zamyślony...

Dwaj policjanci zatrzymali się przed semaforem. — Czy mogę zobaczyć jeszcze pismo Lawrence'a? — zapytał Ives.

Bracker wyjął z portfela fotokopię. List mówił: „Moja ukochana Luizo, jest mi przykro. Wiem, że będziesz nieszczęśliwa, lecz to jest jedyny sposób, żeby wyjść z tego."

— Wyjść z czego? — szepnął Ives.

— To już pan musi wykryć. W ciągu ośmiu miesięcy zaszło siedem wypadków samobójstw, siedmiu mężczyzn odebrało sobie życie posługując się pistoletem, nożem, brzytwą, trucizną lub skacząc z dziewiątego piętra. Każdy z nich był znaną osobą. Początkowo myślałem, że to morderstwa, lecz odrzuciłem tę hipotezę. Wezwaliśmy pana, gdyż wiadomo, że pan rozwiązuje najtrudniejsze przypadki. Jestem już zmęczony tą sprawą.

— Ciekawe, że wszyscy samobójcy należeli do jednego klubu „Sportmans Club" — myślał głośno detektyw. — Może tam trzeba szukać odpowiedzi.

— Proszę pana, po dwóch samobójstwach zauważyliśmy ten zbieg okoliczności i ja osobiście zbadałem wszystkich członków klubu. Lecz niczego nie odkryłem. A jednak siedmiu mężczyzn zmarło tragicznie.

Sądzę, że to jest dzieło jakiegoś zbrodniarza. Bardzo inteligentnego. Może i pan tak myśli?

— Niezupełnie — oświadczył Ives. — Sprawa jest skomplikowana. To mówiąc Ives wsiadł do swego Chryslera, zatrzasnął drzwiczki i odjechał.

„Sportmans Club" mieścił się w niewysokim budynku. Ives zapukał, otworzył mu służący Murzyn. Detektyw pokazał swój znak i wszedł do wnętrza. W lokalu siedziało dziesięciu mężczyzn. Ives zbliżył się do okna i zobaczył dwa wspaniałe jachty kołyszące się na wodzie.

— Czym mogę panu służyć? — Mężczyzna o silnej budowie zatrzymał się obok detektywa. — Jestem właścicielem klubu, nazywam się Eric Korngold.

— Pracuję dla policji. Jesteśmy zaniepokojeni wypadkami, które zdarzyły się w klubie.

— Tak, zaszły rzeczy okropne, nie wiadomo czym je tłumaczyć.

— Widzi pan, ludzie zabijają się z wielu przyczyn. Pierwsza — to pieniądze, druga — kobiety.

— Kobiet tu się nie przyjmuje, bez żadnego wyjątku.

— Dziękuję panu, rozejrzę się teraz po lokalu.

Korngold odszedł.

Ives zainteresował się barem. Barman wycierał kieliszki. Człowiek siedzący przy ladzie coś mówił półgłosem. Był to Carter Sextan, właściciel fabryki papieru, bogacz, żonaty, ojciec dwojga dzieci.

Ives przysunął stołek. — Proszę o coś mocnego — rozkazał.

Barman, przygotowując cocktail, odpowiadał Sextanowi cichym głosem. Niedługo klient wyszedł z lokalu. Barman postawił przed detektywem napój.

— Jak się pan nazywa? — zapytał Ives.

— Harold Morrow.

— Co pan myśli o tych samobójstwach?

— Ach, to pan Ives! Słynny detektyw! — ucieszył się barman. — Znałem tych panów, lecz nie wiem, co mogło ich pchnąć do samobójstwa. Szkoda, że pan musiał się znaleźć wobec faktów nie do rozwiązania. A przecież Rodney Brown pisze, że pan wszystko wykrywał. Inni też pana chwalą.

— Panie Morrow, skąd pan wie tyle o mnie?

— Moje hobby to kryminologia. Czytałem wiele książek na ten temat. A pan zajmuje w każdej z nich pierwsze miejsce.

Podoba mi się ten człowiek — myślał Ives popijając trzecią szklaneczkę trunku. Chciał, żeby barman mówił jeszcze, głos jego był melodyjny i przekonywający.

— ...lecz sądzę, że nie byli uprzejmi — ciągnął dalej barman — określili pana jako maszynę. Boucher pisze, że pan był żonaty, a teraz żyje pan samotnie, ciągle zmieniając miejsce, jak człowiek bezdomny...

— Tak, to prawda — szepnął Ives. Pomyślał o Grecie. Po tylu latach! Najpierw były szczęśliwe czasy, a potem... ten pokój, lekarz pochylony nad łóżkiem Grety, bladej i nieruchomej. O Boże, gdybym nie wyszedł z domu, może by jeszcze żyła...

— ...takie życie musi być smutne — mówił barman.

— I tak jest naprawdę — przyznał Ives.

— Nie wiem, co bym zrobił w pana sytuacji. Brown dowodzi że pan chciał zabić swą żonę, ale to brzmi okropnie...

Barman mówił, mówił, głosem spokojnym, sugestywnym...

Mając głowę pełną wspomnień, Ives wypił swój ostatni drink, rzucił na ladę pięć dolarów i wyszedł.

Świeże powietrze nie pomogło mu. Wiedział, że to prawda: zabił Gretę i teraz był sam... Zatrzymał się przed semaforem. Gdy zapaliło się zielone światło, wyszedł powoli na jezdnię nic nie widząc. Myślał o Grecie i o tym, że jest nic nie wart. Coś mu szeptało, że ból się niedługo skończy, może za sekundę...

— Hallo, niech pan uważa! — ktoś krzyknął. Ives uskoczył w bok, autobus wyjeżdżający z bocznej ulicy musnął go tylko.

— Jak pan się czuje? — zapytał jakiś przechodzień.

Ives nagle zdał sobie sprawę z tego co zaszło i przeraził się. Zacisnął pięści i pobiegł do swego auta modląc się, żeby nie przybył za późno. Bo teraz wszystko zrozumiał...

Niestety, Carter Sextan już nie żył, kula przebiła mu czaszkę.

— Ives — dziwił się porucznik — kto panu o tym powiedział?

— Teraz nie mam czasu na wyjaśnienia, dowie się pan niedługo, przyrzekam. — Podszedł do telefonu, nakręcił numer biura adresowego. Potem wsiadł do samochodu i pojechał do dzielnicy Queen Ann. Dwie godziny później zjawił się w „Sportmans Club".

— Barman!

Morrow spojrzał w jego kierunku i zdziwił się. — Myślałem, że pan odjechał.

— Proszę o ten sam cocktail — rzekł detektyw — i jeden także dla pana. Muszę uczcić ten dzień.

Morrow przygotował trunki.

— Sextan nie żyje, czy pan wie?

Barman zadrżał. — Mówi pan serio? Rozmawiałem z nim kilka godzin temu. Co się stało?

— O, jak zwykle, popełnił samobójstwo.

— To smutna wiadomość, był jednym z najlepszych członków naszego klubu.

Detektyw uniósł szklaneczkę. — Na zdrowie! — zawołał.

Barman zasępił się. — Nie widzę powodu do radości po takim szoku...

— Owszem, jest: rozwiązanie problemu. Proszę posłuchać. Osiem osób popełniło samobójstwo. Pozornie byli to ludzie szczęśliwi, bez żadnego powodu do zabijania się. Lecz należy podejść do sprawy psychologicznie. Czytałem gdzieś takie zdanie: „W każdym człowieku istnieje pewna utajona sprężyna. Gdy istota ludzka sama siebie niszczy, to znaczy, że coś, albo ktoś uruchomił tę sprężynę." Każdy człowiek jest potencjalnym samobójcą. I właśnie coś, czy ktoś uruchomił ów mechanizm w każdym z naszych desperatów. Sądzę, że raczej „ktoś". To jest nadzwyczajne! Po raz pierwszy zastosowana nowa metoda zabijania!

— Teoria bardzo interesująca rzekł barman.

— Badałem przeszłość tych ludzi. Zacznijmy od pierwszego. Fredric Addison miał konto w banku w wysokości dwustu tysięcy dolarów, piękną żonę itd. Lecz było coś jeszcze innego. W 1943 roku Addison miał przykrości w wojsku, pewien żołnierz oskarżył go, że mu czynił „propozycje" po zaproszeniu go do swego domu. Addison zapłacił i sprawa wówczas ucichła.

Badałem także życiorys innego samobójcy — Raya Vaile. Zakochał się niegdyś w pewnej aktorce, nawet zaręczyli się. Potem ona go porzuciła i Vaile ożenił się z miejscową dziewczyną, lecz pisał dalej przez wiele lat namiętne listy do aktorki... Blumental, kandydat na gubernatora stanu, był niegdyś nałogowym alkoholikiem... Lawrence, wypróbowując swój samolot, spowodował śmiertelny wypadek pilota... Sextan był wypędzony ze szkoły i powątpiewał o swej inteligencji. Itd... Czy teraz pan rozumie?

— Nie wiem, o co panu chodzi — mruknął barman.

— O, dosyć, dosyć! Dosyć komedii! To właśnie były „sprężyny" tych ludzi, ich „pięty achillesowe". Ukrywali je nawet przed sobą. Lecz gdy ktoś je wydobył na światło dzienne... Nietrudno zrozumieć reakcje ludzi.

— To jest tylko teoria, proszę pana.

— Jeszcze nie skończyłem. Dlaczego to się zdarzyło osobom należącym do klubu? Musi tu być zabójca, który uruchamia te sprężyny. Ktoś, kto zna dobrze psychologię. Człowiek rozczarowany i pełen nienawiści, który wierzy, że wart jest o wiele więcej od tych, co go otaczają i którym musi służyć. Są ludzie, którzy nie mogą znieść szczęścia i powodzenia innych... A więc, co pan o tym myśli?

— Panie Ives, to jest może prawdziwe lecz zawsze pan znajdzie się w ślepej uliczce. Jeżeli nawet pan wykryje tego typa, to i tak nie będzie można mu nic zrobić, ani przeszkodzić w kontynuowaniu tego rodzaju zbrodni.

Ives uśmiechnął się szyderczo. — Jestem człowiekiem upartym. Mała pomyłka ze strony zbrodniarza — i jest już skończony. Uwierzą prędzej mnie niż jemu. A w ogóle... znam kilku lekarzy sądowych, którzy chętnie wyświadczą mi przysługę: zmienią samobójstwo na zabójstwo. Ale nie będę tego potrzebował.

Barman przerwał swą pracę, utkwił wzrok w detektywie. Nastąpiła długa cisza. — Niech pan mówi dalej, Ives...

* * *

Następnego dnia rano przyszła wiadomość o nowym samobójstwie. Barman Morrow strzelił sobie w usta.

— On się nie zabił — rzekł Ives. — To ja go zamordowałem.

Porucznik Bracker był na skraju histerii.

— Spokojnie, spokojnie, poruczniku. Opowiem panu jak to się stało. Miał pan rację przypuszczając, że to były morderstwa. Po owym autobusie, który o mało mnie nie zabił, zrozumiałem, że Morrow jest poszukiwanym przez nas człowiekiem. Znalazłem jego adres i wszedłem do jego mieszkania. Była tam biblioteka z setkami książek na temat psychologii. Na jednej z półek znajdował się brulion z nazwiskami i informacjami o wszystkich członkach klubu. Każdy z nich był skazany na śmierć. Morrow znał ich słabe punkty i wypróbowywał swą siłę argumentacji. Wierzył, że jest doskonałym psychologiem i że nie może się pomylić. Tymczasem ja wykazałem mu, że jest zawsze możliwość pomyłki, np. trafi się osoba, u której nie znajdzie owej „sprężyny". No i zastosowałem także pewne groźby. Morrow popełnił samobójstwo. A może chciał mi dowieść, że nie miałem racji i że on był doskonały. W każdym razie sprawa jest zakończona. Zapraszam pana na kawę.

A. S.

Lewym okiem

SZANUJMY NERWY MASZYN

Wiele istnieje sposobów łatwego udziwniania i ukomiczniania każdej rzeczy i sprawy, wieloma sposobami można zyskać opinię cenionego w towarzystwie humorysty. Pamiętacie zapewne takie najprostsze a najskuteczniejsze metody, jakie stosowało się ongiś w sztubackich środowiskach, na przykład dodawanie co parę słów wstawki „z przodu" i — na przemian — „z tyłu"? Od razu zaczyna być śmiesznie:... ile cię cenić trzeba z tyłu ten tylko się dowie, kto cię stracił z przodu...". Albo malutkie przesunięcie akcentów i znaków przestankowych: „zobaczył szlachcic łzy radosne. Leje z wozu na ziemię. Wylata...". To były metody prymitywne. Intelektualiści natomiast sięgają niekiedy po paradoksy, czyli błyskotliwie podane twierdzenia, sprzeczne z poglądem powszechnie przyjętym. Nie jest wiele wart paradoks którego całą błyskotliwość stanowi owa sprzeczność z powszechnym przekonaniem.

To tak, jakby ktoś — wzorem sztubackich zabaw — wstawił przed orzeczeniem „nie" i odwrócił kota ogonem, a wy się śmiejcie. Można na przykład tym trybem cały felieton w „Kulturze" poświęcić pochwale bezmyślności, bo wszyscy skłonni są chwalić myślenie. Można też gwałtowną filipiką zaatakować w tymże organie, tym samym piórem, Dni Oświaty, Książki i Prasy, bo na ogół się podobają i przyjęły się jako oryginalna, nowa, ładna, nieomal ludowa tradycja: No to co, że się przy ich okazji rozładowuje zapasy? To właśnie dobrze. Dlaczego metoda dobra w odniesieniu do butów, pończoch, krawatów i mebli ma być niedobra, gdy chodzi o książki?

W sporze między myśleniem a bezmyślnością skłonny jestem mimo wszystko przyznać rację znakomitemu ekonomiście, który w dyskusji o stylu i metodach zarządzania przemysłem wyraził się, że „kierownik, nie mający czasu na myślenie, jest karykaturą kierownika."

Byłoby bardzo smutno, gdyby Hamilton miał rację i gdyby rzeczywiście wymogiem pod adresem kierowników był cenzus chwalebnej bezmyślności, czyli: nie filozofować, nie mądrzyć się, tylko robić. Jak maszyna. Taki wymóg bywa dobrze widziany, bywa nawet jednym z ważniejszych, ale też i skutki takiej sytuacji bywają bardzo, bardzo niedobre.

Zresztą maszyna też wymaga zachowania mnóstwa warunków, aby mogła pracować jak należy. Wymaga więcej niż człowiek. Czytaliśmy przecież niedawno, że mózgi elektronowe w pewnym instytucie myliły się, jąkały, denerwowały, gdy zbliżała się do nich kobieta. Okazało się mianowicie, że stylonowe koszulki i majteczki wywołują jakieś tam pola magnetyczne i zakłócają spokój nader czułym połączeniom i przebiegom w maszynie. A urzędnik nic. Niezależnie od rodzaju bielizny na pięknym ciele przy sąsiednim biurku, siedzi i liczy. Przesuwa guziki liczydeł (nowszych urządzeń nie opanował, zresztą mu nie dali) i myli się zawsze jednakowo!

Trzeba będzie zdaje się co rychlej wynaleźć sposób uczulenia niektórych maszyn z kolei na bieliznę męską i niech potem siedzą obok siebie takie agregaty, niech się zakochują, obgadują i dopingują, niech im wzajemnie pola magnetyczne pomagają i przeszkadzają, jak nam, usiłującym myśleć ludziom.

Precyzja i wrażliwość maszyn i aparatów przekracza jakiekolwiek możliwości normalnej wyobraźni ludzkiej. W to trzeba po prostu wierzyć, tego wyobrazić sobie nie sposób. Kto sobie wyobrazi milionową część milimetra? Już bardzo dawno temu czytałem o zaskoczeniu pewnego uczonego, który we wszystkich badanych ciałach znajdował ku swemu zdziwieniu złoto. Dopiero drogą niezwykle żmudnych, okrężnych dociekań doszedł do wniosku, że jest to złoto z oprawki jego własnych okularów. Urwie się jakiś atom jeden z drugim, urywają się wciąż, nieprzerwanie, i fałszuje cały eksperyment. I zaraz kusi człowieka, żeby uogólnić: we wszystkim, co widzę, jest cząstka moich okularów. Żeby nie wiem jakich instrumentów użyć, wszędzie i zawsze zobaczę kawałek siebie, który zafałszuje całą resztę. Byleby ten kawałek był właśnie ze szczerego złota!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 144-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1607 S-5.